

BERLICZ SAS



# KARTA WSPOMNIENÍ



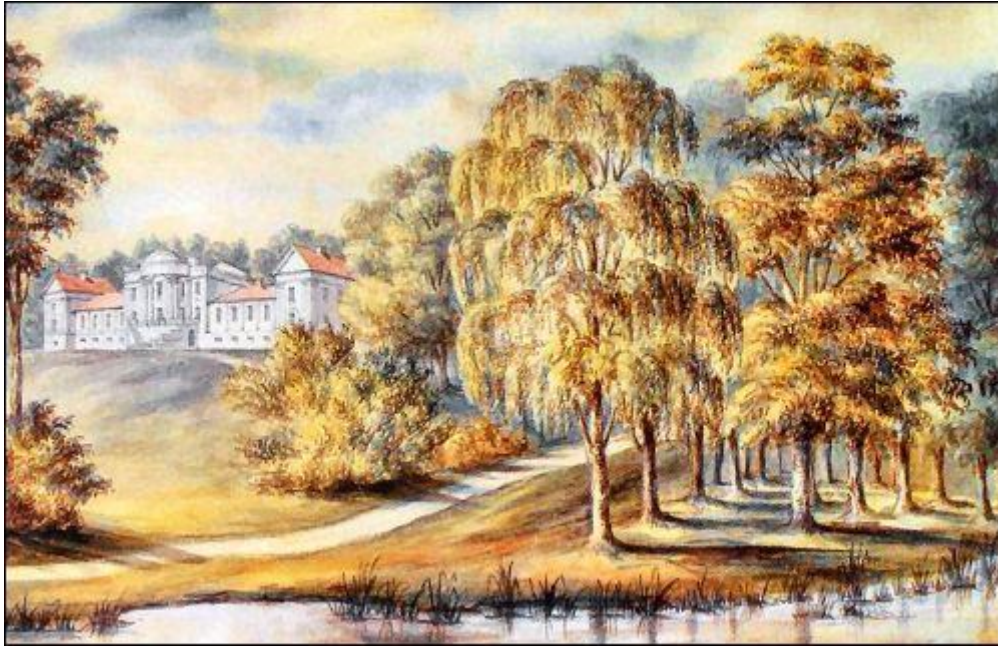
KRAKÓW 2021

[www.ultramontes.pl](http://www.ultramontes.pl)

# SPIS TREŚCI

	Str.
Część pierwsza .....	3
Część druga .....	9
Część trzecia .....	15
Część czwarta .....	21
Część piąta .....	29
Część szósta .....	38
Część siódma .....	51
Część ósma .....	62
Część dziewiąta .....	75
Część dziesiąta .....	86
Część jedenasta .....	98





# KARTA WSPOMNIENÍ

BERLICZ SAS

—————  
(Część pierwsza)

Komu nieznane miasteczko Łohojsk, w dawnym Mińskim województwie położone, niech przeczyta *Opisanie powiatu Borysowskiego*, przez Konstantego Tyszkiewicza, syna Piusa, co był w 1829 r. dziedzicem tej starożytnej osady. Młody jeszcze bardzo byłem, kiedy w powyższym roku z mentorem moim Gustawem Gussekiem, dla poznajomienia się z pokrewnym domem Tyszkiewiczów, do Łohojska przyjechał.

Pan Pius był już dobrze podtusiały, ale wzrost jego drobny i skład ciała suchy, robiły go dość lekkim i ruchawym. Całym gospodarstwem zawiadywał bondziuczny szlachcic litewski Wojsiatt, niegdyś koniuszy króla Miurata (czy nie własnej kreacji?). Domem trudniła się żona pana Piusa, czcigodna Augusta z Platerów. Sam zaś dziedzic, miłujący nade wszystko życie swobodne, *procul negotiis*, przesiadywał najczęściej w swoim pokoju, to jest w maleńkiej ciupie, której całym meblem było, proste łóżeczko, krzeselko sędziwej starości, stoliczek zaledwie mogący utrzymać się wertykalnie, z powodu szwankującej nóżki, tokarnia średniego rozmiaru z machowym kołem.

Obok kalendarza gospodarskiego na rok Pański dawno miniony, leżała na owym kulawym stolicku kronika Łohojska sporego formatu, nie pomnę czyja. Nad tokarnią wisiała na ścianie długa niemiecka fajka, wierna towarzysza artystycznego trudu pana Piusa, który większą część dnia poświęcał produkcji niezgrabnych guzików z rogu, i kościanych munsztuków do cybuchów z domorosłej wiszni lub śliwki, starannie wylakierowanych. Co do toalety pana Piusa, dowodziła ona w nim wysokiego stopnia pogardy dla paryskiego *fashionu*. Surdut z bajki zielonej, butelkowej barwy, czerwona kamizelka z kaszmiru w orientalne esy, floresy i lakoniczne *inexprimables*, w strefie kolan wyprężone i znakomicie wytarte, składały jego najmiłsze codzienne ubranie, z którego w dniu solenne tylko dozwalał kamerdynerowi ogałacać siebie. Zapomniałem wspomnieć o rudej peruce, niedbale zarzuconej na *occiput*, i napominającej owe krzaczyste zarośla, których liście od jesiennego chłodu pożółkły.

Przecież pod tą oryginalną, ba nawet nieponętą powierzchownością, istniał rozum praktyczny, wytrawny, jasny w przejawach swoich; biło serce ciepłe, kochające, szlachetne, polskie, chrześcijańskie, obywatelskie. Pomiędzy tym, czym był pan Pius, i czym się zdawał być, zachodziła sprzeczność, nie dająca się określić żadną peryfrazą, nie dająca się ocenić od razu. Dla swej czcigodnej żony był wiernym, tkliwym, troskliwym przyjacielem; dla dzieci nieporównanym ojcem. Poddani, słudzy, domownicy, kochali go i poważali. Obywatelstwo czciło, bo cnót jego publicznych niejednokrotnie doświadczyło.

W epoce mojego przybycia do Łohojska, zbliżał się dzień jego urodzin. Starszy syn pana Piusa, Konstanty, urzędnik przy ministrze skarbu księciu Ksawerym Lubeckim, pośpieszył z Warszawy na tę uroczystość familijną, wspólnie z kolegą i przyjacielem swoim Henrykiem Kostrowickim. Młodszy, Eustachy, uczeń wyższych klas gimnazjalnych przyjechał z Mińska. Żaden z nich nie wyjawiał wtedy jeszcze wyłącznych umysłowych usposobień, ani specjalnego powołania do literackiego zawodu. W Konstantym wrzała krew zbyt wielkim życiem, ogniem porywów ku uciechom światowości. Eustachy miał na pozór inteligencję leniwą, nieplodną, a więc mało co obiecującą na przyszłość, może nawet była taką realnie, dopóki ją promień żywotny nie ogrzał, nie oświecił, i do działalności nie pobudził. Bądź co bądź mieliśmy go za dobrego chłopca, ale nie za zdolnego. Nikomu się ani nie przyśniło wtedy, żeby ów chłopczyzna mógł kiedykolwiek zostać znakomitym archeologiem i założycielem Wileńskiego Muzeum; albo żeby brat jego Konstanty, ów polotny i lekkomyślny młodzieniec, namiętny miłośnik walca i mazura, zdołał zalecić się krajowi

świątyniami trudy na polu badań dziejowych i archeologicznych okresów swojej rodzinnej strony.

Dom pana Piusa był właściwie pałacem, i to niepoślednim w kraju. Obszerność rozmiarów i okazałość stylu dawały mu do tego tytułu niezaprzeczone prawo. Zwykle mało ożywiony, poważny i uroczysty, nappełnił się on gwarem i ruchem, z okazji nadchodzącego rodzinnego święta. Co chwila przybywały tam nowe żywioły wesela; co chwila toczył się przy hucznym trzasku bata jakiś nowy transport przyjaciół, krewnych i sąsiadów. W liczbie ich był z pomiędzy najdostojniejszych, biskup Lipski, co po księdzu Dederce zasiadł na diecezji Mińskiej, pasterz gorliwy, kapłan wzorowy, lecz umysłem niższy od poprzednika swego a także hartem ducha i powagą. Towarzyszył jemu ksiądz prałat Rawa, majątny obywatel, powinowaty Tyszkiewiczów. Istne powołanie przewodniczyło jemu w wyborze duchownego stanu, bo ani kawałka chleba, ani socjalnego stanowiska szukać nie potrzebował. Musiał zatem być, i był w istocie przykładowym dygnitarzem Kościoła, pobożnym sługą ołtarza; ale mu to nie przeszkadzało być nader miłym, swobodnym i szczerym w stosunkach społecznych, lubił żarcik przyzwoity, zabawę niewinną, lubiono więc go tyle, ile szanowano. Przybycie jego witano zawsze z rzetelną serdecznością, z nieudanym weselem.

Coraz ludniej robiło się w łohojskim pałacu, bo komplet przyjaciół domu coraz się pomnażał. Miałeś tam Osztorpów, Jeleńskich, Pruszyńskich, Ungerów, Bilikowiczów, Tyszkiewiczów, Slizniów, Czapskich. Przybył także i Seweryn Rzewuski, wuj rodzony mojej matki, brat Adama kasztelana Witebskiego, *ergo* stryj Henryka Rzewuskiego, wydawcy *Soplicy*, *Listopada* i *Zamku krakowskiego*.

Ile osób, tyle cech odrębnych charakteru, tyle psychicznych odcieni, tyle umysłowych odmian. Osztorp na przykład, marszałek gubernialny miński, chorował na dygnitarza, pysznił się z carskich regalii, co wespół z komandorskim krzyżem św. Jana Jerozolimskiego jaśniały na piersi jego. Ukształceniem nie celował. Uczuciem narodowości nie odznaczał się. Pod firmą obywatelskiej posługi, trzymał się oburącz marszałkowstwa z widoków próżności i pychy. Karol Czapski, wojewodzie, przeciwnie wyższy rodem od niego, wziętością, kulturą i stosunkami, mogący łatwo dostąpić wysokiego stanowiska oficjalnego, które by całą plejadą gwiazd piersi jego oświeciło, nie szukał go, unikał, odrzuciłby nawet, gdyby mu takowe ofiarowano, bo niósł w sobie żywe poczucie narodowości swojej, święte palladium obywatelskiej cnoty,

i polskiej szlacheckiej godności, którym do lat późnych niezmiennie wiernym pozostał. On był krewnym moim przez Platerów. Kiedym go poznał w Łohojsku, mógł mieć około 75 lat. Był szczery, rozmowny, dowcipny, wysmienity! Łagodność jego pełna słodyczy, i powaga niewymuszona, bo z duszy płynąca, były głównymi cechami jego wyjątkowej, wysokiej natury. Słynął po całej Litwie jako dystrakt nie mający równego. Ileż to razy, rozprawiając o czymś przy śniadaniu, smarował masłem swoją szkocką tabakierkę w przekonaniu, że kawałek chleba w ręku trzymał! Ile razy siedząc obok damy u stołu, pociągał jej szal lub suknię do swego nosa, myśląc że chustkę z kieszeni wydobywał. Kiedy go traktowano konfiturami, nie obeszło się nigdy bez długiej perory, w której dowodził, argumentując niezupełnie trafnie, że konfitura nie jest właściwie fruktem, ale tylko mumią owocu, *ergo* musi być rzeczą szkodliwą, tamującą proces dygestyjny, zabijającą organizm.

– Więc hrabia nie zwykłeś jadać konfitur? – zapytał ktoś z przytomnych. (Działo się to u pp. Olędzkich w Wilnie).

– Nigdy! mój panie – nigdy! odpowiedział, zając w co najlepsze owe trupy i mumie owoców, z których ani jednego na miseczkach nie zostawił.

Lecz najparadniej popisał się u Grecewicza, mińskiego gubernatora, podczas oficjalnego jakiegoś obiadu. Wyobraziło się jemu, że u siebie gości przyjmował, a że jak się pokazuje, gubernatorski watek, musiał pokpić sprawę w urzędzeniu bankietu, więc wstając od stołu, rzekł sędziwy dystrakt do swoich współbiesiadników:

– Bardzo i bardzo przepraszam kochanych panów, za taki lichy obiad. Ręczę, że ten ladaco Bazyli, mój kurygoni, upił się swoim zwyczajem. Pokręcę go tego za uszy!

Żywą antytezą Karola Czapskiego, był wyżej rzeczony Seweryn Rzewuski. Do składu moralnego tej wyjątkowej indywidualności mnóstwo kontrastów wchodziło. Ród polski obok zasad kosmopolityzmu; pozory katolickie obok negacji encyklopedystów XVIII wieku, i wolterowskiego sarkazmu; duma rasowa obok pokornego hołdownictwa władzom i rządowi; rozum niepospolity, analityczny, ostry, obok przedsięwzięć i czynów niezgodnych z logiką; filantropia w ustach obok sercowego chłodu, i przewagi osobistego interesu; dowcip igrający po mistrzowsku ideą i słowem, obok płaskich trywialności przekraczających nierzadko granice dobrego tonu i przyzwoitości. Oto jest wizerunek moralny Seweryna Rzewuskiego, zdjęty z

natury, a więc niewątpliwego podobieństwa (1). Gdy zechciał ugodzić kogo epigramą, nie chybiał mety. Gdy strzelił satyrą, skaleczył boleśnie. Gdy mu przyszła fantazja być paradoksalnym, sofistycznym, wywiązywał się *arte* z zadania, i niejedną słabą głowę otumaniał. A w tym znajdował on największe upodobanie. Słusznie tedy nazywała go czcigodna p. Tyszkiewiczowa, żona Piusa: *c'est un esprit maudit! c'est le génie du mal!* Rzeczywiście, była w nim szkodliwa, złowroga potęga umysłu, demoniczna i występna, chociaż pełna promienistości i czaru.

Seweryn Rzewuski znał dobrze starożytną literaturę Romy, i kilka ód Horacego wybornie przepolszczył. Niemiecką i francuską wynosił nad inne. Polskiej nie lubił, bo polskim sercem nie istniał. Przecież styl jego polski posiadał tło i tok czysto narodowy, szlachecki, kontuszowy; był stylem swojego czasu, jak w *Soplicy* i *Listopadzie*, bo nie ma wątpliwości, że te znakomite utwory, uporządkowane w późniejszym czasie, i wydane przez jego synowca, wyszły spod pióra Seweryna Rzewuskiego, który mieszkał długo w Nieświeżu, *titulo* bliskiego krewnego księcia *Panie kochanku*, i był *eo ipso* spółnikiem bytu ówczesnego społeczeństwa Litwy. Wiele mi o tym okresie życia swego opowiadał; czytał całe ustępy z notat swoich i pamiętników, z którymi jak ze starymi przyjaciółmi spotkałem się później w pismach pod firmą Henryka Rzewuskiego ogłoszonych. Jeżeliby twierdzenie moje nie miało siły przekonywającej, dość byłoby poddać styl powyższych utworów analitycznemu rozbiorowi, i porównać ze stylem *Mieszania* Jarosza Bejły, i reszty pism słusznie imieniowi Henryka Rzewuskiego przynależnych. Bądź co bądź, winniśmy temu ostatniemu wdzięczność, bo gdyby nie on, to kosztowne płody pióra Seweryna Rzewuskiego zaginęłyby w chaosie jego bezładnego i niesforne go życia.

W lat kilka po ostatnim widzeniu się naszym w Łohojsku, Seweryn Rzewuski zszedł z tego świata, zostawiwszy jednemu synowi swojemu Florianowi, w spuściźnie wszystkie swoje wady i ułomności, bez żadnej z umysłowych zalet, którymi go tak hojnie natura uposażyła. Florian był policmajstrem w Wilnie za Murawiewa. *Sapienti sat.*

Nadszedł nareszcie dzień uroczysty familijnego święta, co tych gości pośpieszył powitać. Ksiądz prałat Rawa miał Mszę świętą w pałacowej kaplicy, na intencję solenizanta. Biskup Lipski przemówił powinszowalne słowo, zakończone pasterskim błogosławieństwem. Po ucałowaniu krzyża św. udaliśmy się do wielkiej sali, ubranej w zieleń i kwiaty. Tam stali już szeregiem słudzy i

delegaci od gmin łohojskich, starzy gospodarze, patriarchy siól, *patres conscripti* wiejskiego ludu, z długimi siwymi brodami, z chlebem i solą w ręku. Cny solenizant, (który *nota bene* musiał nie bez żalu, przენiewierzyć się swojemu najmilszemu surdutowi z bajki zielonej, i czerwonej kamizelce *in gratiam* uroczystości), obleczony we frak czekoladowy archaicznej mody, z metalowymi guzy, przyjął z sercowym rozrzewnieniem powinszowania, co się dokoła niego posypały, uściskał staruszków, i wypiwszy staropolską mechą ich zdrowie, napełnił nią sporą, srebrną czarę starożytnego kunsztu, i podniósł ją najpierwszemu w szeregu.

– Setne lata naszemu dobremu panu! i naszej dobrej pani! i dzieciom ich! wołali, wychylając kolejno czarę, i roniąc łzy rozrzewnienia, co po ich licach poważnych spływały.

Wielce budującą była ta scena, istnie rzewna i wysoka. Patriarchalna doba świata, braterstwa i miłości, kiedy nawet królowie byli jeszcze niczym innym, jeno pasterzami ludów, ojcami pokoleń, stanęła mi żywo przed oczyma. I nie jam jeden był wzruszony. Czcigodna gospodyni domu, i jej córka Celina, czystej i wzniosłej duszy istota, płakały z rozczulenia. Wirgińka Bilikowiczówna (2) z Adelką Ungerówną, pokrewne domu, dopomagały tymczasem Konstantemu i Eustachemu Tyszkiewiczom, częstować przedstawicieli ludu i sług; a proboszcz miejscowy, zacny ksiądz Korwel, sznurkował pomiędzy nimi zacierając sobie ręce, na znak wysokiego zadowolenia, i ciągle powtarzał: "Na miły Bóg! dobrze robicie, że kochacie waszych państwa, bo i oni was serdecznie kochają!".

Sędziwy Karol Czapski nie spuszczał oka z tego obrazu tyle mającego wysokiej i pouczającej treści. Widno było, że się z nim całym sercem jednoczył, że się weń całą swą szlachetną duszą przelał. Co do Seweryna Rzewuskiego, jakby Mefistofil Fausta uśmiechał się sarkastycznie, hamując na ustach epigramę gotową do lotu; potem zbliżył się do mnie i szepnął na ucho:

– *Quelle insipide comédie!* – i wyszedł z salonu!

Opisać wszystkie szczegóły dnia tego, byłoby i zbytęcznym i nudnym. Jak zwykle, kiedy gdzie feta w domu, zwłaszcza zamożnym, było i gwarno, i huczno, i wesoło. Obiad był wystawny, na srebrach pradziadowskich; wina wysokie; baszty z cukru i biszkoktów okazały; kwiatów i wieńców zieleni na stole co niemiara. Czapski pozjadał wszystkie konfitury, złorzeczając im swoim zwyczajem.



Stary Slizień, *simplex servus Dei*, i mazgaj przy tym, bo przy lada okazji szlochał, robiąc deszczową rynwę z długiego nosa swego, wypalił jakąś orację, nieobciążoną dowcipem, w cześć solenizanta. Seweryn Rzewuski, gracz do lampy, na dnie której znajdował, jak się wyrażał, prawdziwą filozofię życia, zaintonował toast powinszowalny, skwapliwie powtórzony przez ucztujących, i ponowiwszy toast ów trzykrotnie, na tym fundamencie zapewne, że *omne trinum perfectum*, huknął do pana Piusa:

Sto lat nam żyj,  
Jedz, hulaj i pij,  
Gdy zaśniesz, błogo śnij,  
Dobrych czcij, a złych bij,  
A po stu latach gnij!

---

(Ciąg dalszy. – Część druga)

Była to improwizacja godna jej autora. Dusza bez instynktu harmonii i bez wzniosłości natchnień, cóż mogła lepszego utworzyć? Biskup Lipski nie uczestniczył w bachusowych libacjach.

Po obiedzie wszyscy ruszyli parami do przyległej sali, gdzie się całe towarzystwo podzieliło na odrębne grona, według prawa moralnej atrakcji i kategorii wieku. Poważni przedstawiciele XVIII stulecia usiedli w kółko, każdy obok matrony swego wyboru, i zajęli się gawędką. Młódź, posłuszna chwilowemu usposobieniu, obrała sobie tę lub ową zabawę, rozbiegła się po komnatach, gdzie bilard, loto, szachy, szlacheckie warcaby, a przede wszystkim fortepian, powoływały ją z kolei. Była tam i moja wiolonczela. Zagrałem z Celiną Tyszkiewiczówną, duet Hüntena – wtórzyłem jej potem, gdy kilka polskich motywów prześlicznie śpiewała. Po niej usiadła przy fortepianie Wirginka Bielikowiczówna, niesłychanie pocziwe, ładne i naiwne stworzenie. Córa wsi, wiejską jakąś idyllę, dość czysto i dźwięcznie zaśpiewała. Dotąd pamiętam wstępne słowa:

Pójdę ja zbierać pszeniczne snopki,  
Pszeniczne snopki –  
Albo je będę składać w półkopki,  
Składać w półkopki – etc. etc.

Alboż nie sielanka? – W ogólności, talent śpiewu był wtedy jeszcze mało uprawiany w zaciszu prowincjonalnym na Litwie. Panienki nuciły sobie

samoucznie, naśladowując jedna drugą, a repertuar ich rzadko przekraczał linię miejscowej strofy i popularnej lokalnej melodii. W domach pańskich tylko pojawiały się czasem, romans francuski lub italska aria, i to z przyprawą domorosłej melodii, rytmem i fałszywą intonacją, śmiertelnie przeciw duchowi utworu i estetyce grzeszącej. Pod tym względem, pocziwa nasza Ukraina (nie mówiąc o Wołyniu i Podolu, spółubiegających się o palmę kultury i talentów) zakasowała była Litwę. Stosunki z Odessą, gdzie o tej porze słyneła italska opera, całą pełnią blasku swojego przyświecająca dokoła, dały dzielnego bodźca muzycznemu ukształceniu Ukrainy i zamiłowania sztuki. Rossini panował wtedy bez podziału. Imię jego brzmiało we wszystkich listach, i wszystkie tkliwsze natury w jego się melodii kąpały. Stąd i nie było na całej Ukrainie domu, gdzie byś nie usłyszał jakiejś arii, lub kawatyny Rossiniego, mniej więcej dobrze, a zdarzało się, że i po mistrzowsku wykonanej. Po roku 1825 dopiero, kiedy wybuch spisku Pestela tyłu rodaków naszych w lodach Sybiru pogrążył, po 1831 r., kiedy proskrypcje i pęta ciężkiej niewoli ukarały grzech szlachetny naszego powstania, umilkły u nas italskie melodie, a pieśń polska, rzewna, żałobna, uroczysta, zajęła bez podziału ich miejsce. Wtedy to i Litwa zaniechała sielanek swoich i nastroiła pieśń swoją według ducha czasu i potrzeby polskiego serca. Miasta, sioła, zaścianki i puszcze, zabrzmiały nutą bojów, hymnem odrodzenia, apoteozą wolności i narodowej sławy. Z każdej piersi sączył się zdrój żywotwny rycerskiej melodii, rażnej, dzielnej, ognistej, która za prędko niestety! zamierzchła i skonała w żalobnym pieniu boleści i smutku! Wiadomy *Mazur Skrzyneckiego*, i popularna w swoim czasie elegia patriotyczna, *Lecą listki z drzewa*, cechują najwymowniej ówczesnego ducha Litwy i Ukrainy.

Ale powróćmy do Łohojska.

Muzyczna zabawa nasza nagle przerwana została wiadomością, że pułk gwardii strzelców konnych, wracający z tureckiej wojny, wstąpił do Łohojska. W ślad za tym ukazał się w salonie ów bundziuczny exkoniuszy króla Miurata, rządca dóbr p. Piusa Tyszkiewicza, Wojsiatt, żeby go uprzedzić, że dowódca pułku, generał Słotwiński prosi o pozwolenie stawienia się w pałacu z oficerami. Nie było ani racji, ani podobieństwa odmówić. Wkrótce tedy zabrząkły szable na schodach, i cały tłum gwardiaków, paradnie ubranych, wtargnął do salonu. Formy światowe, język francuski, a nade wszystko grzeczność tych nowych gości, zdziwiły nas i ujęły. Dopelniwszy swojej uwagi damom, generał przedstawił siebie i swoich księdzu biskupowi Lipskiemu, okazując jemu najgłębsze uszanowanie i wzgląd najuległy, czym się naturalnie więcej jeszcze towarzystwu naszemu zalecił.

Nagle uderzył na galerii chór wojskowych trębaczy. Była to niespodzianka przez generała Słotwińskiego przygotowana. Zagrano poloneza Kurpińskiego, takiej sarmackiej i butnej harmonii, i tak dzielnie wykonanego, że nie mogąc oprzeć się wrażeniu, staruszkowie nasi posunęli się obces dokoła matron, i rysując się zamaszyście do tańca, stanęli parami w pogotowiu. Uprzejma gospodyni podała rękę generałowi. Solenizant stanął z panią Tyszkiewiczową, Ślizniówną z domu, Karol Czapski z panią Osztorpową, Henryk Kostrowicki wziął panią Wojsiatt, Kostuś Tyszkiewicz Adelkę Ungerównę, Kostuś Unger Wirginkę Bielikowiczównę. Ja poszedłem w parze z kuzyneczką moją, Celiną, córką gospodarstwa. Resztę dam i dziewic poprowadziła młodzież.

Długim rzędem pociągnął polonez dokoła balowej sali, wzdłuż salonów i komnat przyległych. Jakby wąż olbrzymi, świetnymi barwy łudzący, związał się on i rozwijał przy blasku jaskrawym lamp, świeczników i pajaków. Nagle, na hasło, czyje? nie wiem, orkiestra wpadła na rytm żywy, skoczny, polotny. Ognisty mazur zabrzmiał hucznie i raźnie. Staruszkowie opuścili szeregi. Młodź ochocza, związawszy się wkoło podskokiem, rozwinęła się raptem, rozbiegła parami, i nuż dalej, gracko, posuwiście, zgodnie! – Dzwonią ostrogi, brzmia podkówki, migają barwy mundurów, połyskują szlify srebrzyste. Tęczystymi wiry krążą wieńce, kwiaty, girlandy, lekkie obsłony dziewicze. – A w ustach uśmiechy, a w oczach radość i upojenie, bo młodość zna swe prawa, którym się oprzeć nie zdoła, które są jej najglówniejszym atrybutem, jej wdziękiem i warunkiem bytu. Troska życia ślizga po jej powierzchni; boleść rozczarowania nieznajoma; głębsze poglądy w znikomość wszystkiego nie smuć jej umysłu, nie zatrważają serca. Ona śpiewa, tańczy, kocha – mniejsza! co później będzie!

\* \* \*

Ogród łohojski, obszerny, cienisty, uposażony kioskami, altanami, alejami drzew starożytnych, wiele miał dla mnie, miłośnika natury, powabu. Kiedy sen błogi otulał wszystkich powieki, promień różanej aurory wywoływał mię zwykle do ogrodu, gdzie do chwili ogólnego przebudzenia zostawał. Trzy obszerne pokoje nad ogrodem, na górnym piętrze położone, mieściły młodych Tyszkiewiczów (Konstantego i Eustachego), mego mentora Gustawa Gusseke i mnie. Co ranka, dopóki bawili w Łohojsku, Czapski i Rzewuski przychodzili do nas na gawędę. Bywało, i sam p. Pius, zaniechawszy swej ulubionej tokarni, przyłączał się do naszego grona. Były to rzeczywiście najprzyjemniejsze godziny dlań. Tyle żywiołów różnorodnych ścierało się wtedy w dialogu! tyle

zdań, poglądów, narracji, wspomnień, przemykało po tle jasnym usposobienia duszy naszej, pałającej życiem, pragnącej życia i wierzącej jeszcze obietnicom jego! Czapski młodniał pomiędzy nami; stawał się żartobliwym, wesołym, poradnym! Rzewuski hojnie wypróżniał swój kołczan ironii, ciskał dokoła ostrymi groty dowcipu, nie szczędząc nikogo swoim zwyczajem – ale mu to chętnie przebaczano, bo kto zręcznie bawi i do wesela pobudza, rozgniewać nie może. Dostawało się najwięcej, naprzód Pruszyńskiemu, o którym była mowa wyżej, a po nim p. G... bardzo zacnemu człowiekowi, ale mającemu słabość do archeologii.

– *Que vous êtes bêtes, vous autres gens d'esprit!* – mówił doń Rzewuski. – Zawsze was zajmują głupstwa jakieś, ani wam, ani społeczeństwu nie przynoszące korzyści. Ot na przykład, pan oddałeś się cały archeologii. – Pytam – na co ona komu potrzebna? Czy doda ludziom rozumu? czy doda serca? czy doda zdrowia, wesołości, szczęścia? Rozkopiesz kurhan – i cóż w nim znajdziesz? Bronie, łzawnice, kości? Wiadomo i bez tego, że walka, łzy i śmierć były, są i będą niezbędnym udziałem człowieka. Wyczytasz napis na grobowcu wiekowym, lub na pomniku? Cóż z tego, że go wyczytasz, dopuściwszy nawet żeś nie popełnił błędu, jak się to często zdarza panom archeologom? – Nic zgoła! Grób świadczy, że ktoś żył, nim żyć przestał. – Że był kiedyś taki kiep na świecie, co się pomnika dobijał. – Nic więcej! Znałem takiego, co stracił majątek, grzebiąc się przez kilkanaście lat w piaskach Egiptu, w szalonym celu odszukania kawałka ucha, czy nosa jakiegoś tam sfinksa, w którego rysach chciał widzieć koniecznie wizerunek Faraona Tatmuzysa. – Pytam – co by na tym społeczeństwo wygrało, żeby znalazł, czego tak zapamiętałe szukał? – Zgodzisz się pan, że nic!

Każdy argument pana G... w obronie badań archeologicznych, trącał o twardą skałę absolutnego przeczenia, lub bezwzględnej ironii. A że pan G... nie lubił ścierać się na słowa, z takim zwłaszcza oponentem jak Rzewuski, co miał frazę na zawołanie, sypał nią łatwo, gęsto, rzutnie (i największe absurdum umiał nią świetnie przyodziać) zdecydował się tedy, opuścić arenę dyskusji, rzuciwszy jednak, jakby chart uciekający, grot ostatniego argumentu, któremu przypisywał nieprzewyciężoną siłę.

– To według pana hrabiego – rzekł z przekąsem – i piramidy egipskie, te niebotyczne gmachy, które Stacjusz nazywał "*audacia saxa*" – a Pliniusz "*portentosae moles*", należą do pomników niegodnych badania?

– Nie inaczej! – odparł Rzewuski. – Według mnie, są one niczym innym, jak smutnym świadectwem olbrzymiego głupstwa tych, co je wznosić kazali, i olbrzymiej podłości tych, co je wznosili. Despotyzm i niewola, dwa skrajne przejawy przywary ludzkiej, nikczemności moralnej człowieka, wcieliły się w te głązy, nad którymi się pan nie wiem czemu zachwycasz, a których się raczej my ludzie oświeceni wstydzić powinniśmy.

Nie udało się panu G... zbić z toru ironii Rzewuskiego. Dał więc za wygraną, i zamilczał.

O samym południu zeszliśmy z góry do salonu. Zastaliśmy tam generała Słotwińskiego i kilku oficerów. Między nimi był jakiś baron Emanuel K..., któremu służbowe zajęcia nie dozwoliły uczestniczyć w zabawie wczorajszej. Dziwne wrażenie zrobił na mnie ten człowiek. Prąd magnetyczny nie tak uderza, jak mię uderzył wyraz jego bladej i surowej twarzy, ożywionej parą ognistych i przenikliwych oczu, – napominających wejrzenie *gettatora*. Baron Emanuel był wysoki, szczupły, szykowny, pełen determinacji i woli w każdym ruchu swoim. Kiedy mówił, głos jego wyrażał tęsknotę, coś jakby rozpacz stłumioną gwałtownie. Generał przedstawił go jako wielkiego turystę, co na morzu i lądzie wiele ciekawych przygód doświadczył. Zainteresowane damy, zajęły się gościem, usadowiły go pomiędzy sobą i zasypały pytaniami. Odpowiadał skromnie, lakonicznie, jakby niechętnie. Tajemniczość jakaś otaczała go i podniecała ogólną ciekawość.

Wyszedszy na galerię z kapitanem Wulfem, uczepiłem pytaniem o baronie, przyznając się do ciekawości, jaką we mnie wzbudził.

– Nie dziwi mię ona – rzekł Wulf. – Wszyscyśmy koledzy jego doznali jej przy pierwszej znajomości z baronem. Było w nim coś zagadkowego, niezwykłego, coś takiego jednym słowem, z czym się w życiu nieczęsto spotyka. Skryty, małomówny, grzeczny w obejściu, lecz mrożącego chłodu, w postępowaniu nieposzlakowany, lecz w uczuciach enigmatyczny, a więc nie dający się ocenić psychicznie, pozostał on dla nas, czym był w dniu pierwszym przybycia do pułku – tajemnicą! Szacujemy go, lecz nie mamy dłań tych koleżeńskich uczuć, jakie się tylko z bliższych stosunków i z wzajemnej solidarności owych wyradzają. Czego się wałęsał po świecie? Czemu powrócił do Rosji, i wstąpił powtórnie do wojska? Niewiadomo. Tryb jego życia każe mniemać, że posiada znaczny majątek; zdarzało się bowiem nieraz, że wyprawiał sute bankiety, na które wszystkich oficerów pułku zapraszał –

uprzejmie, i hojnie ugaszczał. W dni zwykle rzadko wychodzi z kwatery. Siedzi sam w swoim pokoju i nikt, nie wyłączając sług jego, nie wie co robi.

Tyle tylko umiał Wulf powiedzieć o tym enigmatycznym baronie, którego widok takie zrobił na mnie wrażenie. Zdawało mi się, że ten człowiek o tyle starszy ode mnie (bo mię podwójną prawie lat liczbą przechodził) nie był przelotną dla mnie znajomością; że istniała nie jakaś tajemna pomiędzy nami, jakaś styczność losu mająca się objawić w przyszłości. Nie wierzyłem przeczuciu, bo się nie zgadzało z logiką. Cóż bowiem mogło być wspólnego w przeznaczeniu naszym?

Pułk strzelców konnych gwardii stał w Łohojsku więcej tygodnia. Obcując z oficerami codziennie, poznałem się bliżej z baronem K... Znalazłem w nim nader przyjemnego partnera dialogu i zręcznego narratora, chociaż nadto lakonicznego. Uważałem wszakże, że chętniej ze mną niżeli z innymi przestawał, że mniej stronił, a nawet szukał czasami mego towarzystwa. Uśmiechu nie widziałem wprawdzie na ustach jego, ani się twarz, zwykle surowa, wypogadzała zupełnie; a jednak zdawało mi się, że głos jego brzmiał przychylniej, łagodniej, i oko mniej ostro patrzyło. Kiedyśmy się rozstawali, ścisnął dłoń moją i rzekł:

– Do widzenia;

– Gdzie? i kiedy? – zapytałem.

– Nie wiem – odpowiedział – ale mam przekonanie, że się nie raz ostatni widzimy.

Kiedym w lat parę po tym zdarzeniu do Nowgorodu przyjechał, i z oficerami powyższego pułku gwardii znajomość odnowił, dowiedziałem się, że baron Emanuel przed rokiem wyszedł ze służby, i niewiadomo dokąd pojechał.

(C. d. n.)

---

### **Przypisy:**

(1) Redakcja pozostawia Szanownemu autorowi odpowiedzialność za wyżej skreślony obrazek Seweryna Rzewuskiego.

(2) Córka prezesa Bilikowicza, z Platerówny urodzona.

---



(Ciąg dalszy. – Część trzecia)

Przeszły lata. Niemało ludzi i zdarzeń, po większej części dotkliwych dla mnie przemknęło przede mną. Z młodzieńca goniącego za ułudą, pałającego ogniem porywów i natchnień, stałem się człowiekiem dojrzałym, zobojętnionym dla życia, i niewierzącym życiu. Burzliwych losów igraszka, stanąłem niespodzianie w szeregach kaukaskiej moskiewskiej armii. Pomieszczony w orszaku naczelnego wodza generała Neidhardta, wysokiej cnoty człowieka, poznałem się wkrótce z całym *beau monde* Tyflisu, w skład którego wchodziło mnóstwo różnorodnych żywiołów, mniej więcej nienawidzących siebie. Na tle miejscowego społeczeństwa Gruzji, różnie odbijały cechy narodowe Armenii, Kolchidy, Mongolii i Moskwy. Byli tam i Polacy, bo gdzież ich nie ma? Czy jest na świecie taki ziemi kątek, dokąd by tych ofiar przemocy burze przeznaczeń nie zanosły? Źródłowski, Strzelnicki, Zabłocki, i wielu innych tęskniło po kraju u stóp Kazbeka lub Elbruz. Inni konali w bojach, brzmiać mdlącymi ustami rzewne pożegnania Ojczyźnie. Znałem ich kilku, lecz rzadkie były moje z nimi stosunki z powodu różnicy, służbowej pozycji, a tym samym niezgodności obowiązków i oficjalnego przeznaczenia naszego. Generał Kazlaninow, główny naczelnik kaukaskiej artylerii, człek dobry i sprawiedliwy, mówił mi nieraz: "Najlepsi moi oficerowie są Polacy. Niech tam sobie rząd myśli co chce, co do mnie nie mogę ich nie pochwalić, kiedy na to zasługują". Jeden z nich, wkrótce potem pod Andi poległy, młody Józef B... odwiedzał mnie często. Była to natura szlachetna, opromieniona żywym natchnieniem, samodzielna i sprężysta. Nieraz bywało, kiedy tłum koleżeński z małym wyjątkiem dokuczliwy i gwarny, dawał mi westchnąć swobodnie, wychodziliśmy z Józefem B... na wieczorną przechadzkę za miasto, i usiadłszy nad stromym korytem wrzących fal Kuru, rozmawialiśmy poufnie. Całe tomy nie pomieściłyby tych samotnych rozhovorów o rodzinie, o miłych sercu, o najmilszej ziemi praojców, o tym co ją dotknęło, dotykało obecnie, i spotkać miało w przyszłości. W przestankach rzucaliśmy wzrok zachwycony na krajobrazy otaczające nas dokoła; na ten Kazbek olbrzymi, co w śniegowej chlamidzie srebrzył się z daleka; na lasy, skały, potoki kipiące w porowach z granitu; na to niebo na koniec, niebo Azji, ciemno lazurne, głębokie, promienne,

co się na górach Gruzji, jakby na słupach osnownych budowy świata opierało. Pięknie było dokoła! cudnie! uroczy! A przecież każdy z nas kończył swą kontemplację głębokim westchnieniem po swoim rodzinnym kraju, i słowa żalu po nim. Mimowolnie wymawialiśmy pospołu; on: *Litwo! co wyrówna tobie!* – ja: *Ukraino! kiedyż cię znowu obaczę!*

Nadszedł dzień oficjalnie uroczysty św. Mikołaja, przypadający według moskiewskiego kalendarza 6 grudnia. Były to carskie imieniny. Z całego Kaukazu, wyjąwszy stron wojujących z Rosją, zjechali się do Tyflisu delegaci prowincji, mandatariusze towarzystw rozmaitych, gmin i osad góralskich; posłowie Bakińskiego Chana, Sultana Elisujskiego, Dadjana Mingrelii i Szacha Persji; a wszyscy dworno, zbrojno i okazale. Po solennej audiencji u *sardara* czyli namiestnika Neidhardta, wszyscy zaproszeni byli na bal, do którego wspaniale zrobione były poprzedniczo przygotowania.

W czterech ogromnych salach, urządzono z drzew balsamicznych i kwiecistych krzewów, rozkoszne gaje, poprzecinane ścieżkami z perskich kobierców. Ścieżki te snuły się w różnych kierunkach przez kioski, altany, tunele, owiane wonią płonących *atargiulów*, i szemrzące sztucznymi rzuty wodnych wytrysków. W każdej z pomienionych sal ustawiono chór wojskowej muzyki. W piątej sali najpierwszej z rzędu, pani Neidhardt z czterema córkami, frejlinami dworu, przyjmowała damy Tyfliskie. Sam namiestnik otoczony licznym i świetnym sztabem, przyjmował mężczyzn i urzędników rozmaitych wydziałów służby. Przybycie sędziwej księżny Orbeljani, owej sławnej w dziejach panowania króla Heraklia, carewny Tekli jego córki, dało bodźca ruchowi ogólnemu całej tej masy różnorodnej i różnobarwnej ku schodom pałacu, ubranym w kwiaty, drzewa, zwierciadła. Na każdym stopniu onych stali podwójnym rzędem kaukaskie kozaki, w swoich bogatych i malowniczych strojach, z bronią misternie srebrem nabijaną i w czapkach baranich wysokich. Namiestnik podał rękę dostojnej staruszce. Inni jenerałowie prowadzili parami, rząd książęcych matron Gruzji poważnie stepujących w swoich białych powiewnych *czadrach*, jakby w mgłę tajemniczej. Skoro tylko ta solenna procesja wtargnęła do pierwszej sali, wszystkie orkiestry czterech sal zagrały hymn Lwowa: *Boże chrani Caria!* a potem przeszły do hucznego poloneza, na czele którego stanął namiestnik z carewną, prowadząc za sobą długi szereg par, przez owe rozkoszne gaje, wyżej przeze mnie pobieżnie opisane.

Trudno sobie wyobrazić coś piękniejszego, jak ten obraz ruchomy towarzystwa z tyłu narodowości złożonego. Świetne mundury rosyjskie,



świeczniejsze jeszcze stroje azjatyckie, blaski, barwy, kształty, migwały na przemian, jaśniały, mieszały się w jedną harmonijną całość, w jedno tło odrębne, oryginalne, niezwykle gdzie indziej tylko na Kaukazie. Grona dam i dziewczic Gruzji, Mingrelii i Rosji, zdawały się jakimś fantastycznym obłokiem z gazy, atlasu, kwiatów, złota, pereł i brylantów, unoszącym się w powiewach harmonii i wesela. Bał brzmiał rozgłośnie; wirował ruchem, gwarem, połyskiem, żywymi barwy, żywymi słowy i uśmiechy. Posłowie przechadzali się poważnie, gruzińskie matrony siedziały etykietalnie, przerywając rzadkimi słowy milczenie, które miały za konieczny atrybut swego dostojęstwa. Młódź puszczała się w tany. Kadryle, galopy i walce, rej wiodły w jednej sali. W przyległej *abchazka* i *lezginka*, pełne życia, gracji i rozkoszy. Księżna Wachtang Orbeljani i młody książę Konstanty Dadjan, para godna siebie, zachwycali wszystkich zręcznością swoją i układem.

Pomiędzy widzami, w gronie starszych wojskowych dostrzegłem postać nieznaną, chociaż było w jej rysach coś takiego, co mi kogoś przypominało. Był to mężczyzna lat około pięćdziesięciu, wysoki, szczupły, zarosły brodą szpakowatą, twarzą i wejrzeniem ponury. Oczy jego śledziły mię z nieruchomością *gettatore*. A gdy się nasze wejrzenia spotkały, on swej żrenicy nie opuścił; przeciwnie zdawał się tonąć w rysach moich, jakby szukając w nich wspomnień dawno minionego czasu. Pytałem obok stojącego kolegę, księcia Kozłowskiego, czyby nie wiedział, kto był ten pułkownik? Nie wiem, odpowiedział, jak się nazywa. Sądząc z munduru, to kozak z linii Tereku. Nigdy go nie widziałem. Obecny pułkownik Arslan-Bek-Tuganow, kabardyniec w służbie carskiej, nie lepiej ciekawość moją zaspokoił. W końcu zaniechałem badania, bo prąd mazura porwał mię i uniósł w dalsze strefy sali, gdzie wkrótce o przedmiocie mojej ciekawości zapomniał.

Bał miał się ku końcowi. Wyszedłem na galerię czerpnąć trochę górnych powiewów, bo chociaż byliśmy na wstępie grudnia, przestrzenie łagodnie dyszały. Księżyc prowadził gwiazd karawanę przez błękity, i całą pełnią blasku opadał na obszerny amfiteatr uśpionego grodu, nad pianistymi wody Kuru. Rad byłem z tej chwilowej samotności, pożądańszej sercu memu od gwarów tłumu i zgiełku oficjalnej zabawy.

Rad byłem skupić się w sobie, puścić myśl swoją w dal czasów i przestrzeni, po zdobyczu wspomnień na dnię przeszłości pozostałych. Wtem posłyszałem ciężkie kroki zmierzające ku galerii. Spojrzałem. – Nieznajomy stał przede mną.

– Czy pan poznałeś mię? zapytał.

– Nie – chociaż wyznaję, że rysy pańskie kogoś mi przypominają.

– I ja znam pana, rzekł, badając twarz moją, miesięcznym blaskiem oświeconą. Nie mogę jednak przypomnieć sobie, gdzieśmy się widzieli? i kiedy? Jest to zagadka lat i przygód; tajemnica przeszłości, tej bezdennej otchłani, gdzie się tyle rzeczy pogrąża, złych i dobrych. Dopomóż mi pan zgłębić tę otchłań i wydobyć z niej rozwiązanie zagadki, która mię obecnie zajmuje.

– Lepszego środka nie widzę, odpowiedziałem, jak zapytać pana o jego nazwisko.

Zaśmiał się nieznajomy śmiechem wewnętrznym, głębokim, i rzekł po chwili milczenia.

– Nazwisko jest niczym innym jak firmą, która się zmienia zgodnie z wymaganiem okoliczności. Trzy razy w ciągu życia odmieniałem nazwisko moje. Tak wypadło.

Widząc, że był zdziwiony tym jego wyznaniem i zwlekaniem z odpowiedzią, dodał:

– Czym jest realnie życie człowieka, jeżeli nie komedią, której teatrem świat? – Człowiek spełnia rolę, do jakiej zmuszają go okoliczności. – Będąc aktorem, musi tedy zmieniać stroje i godła, zgodnie z rolą jaką odgrywa. – Cóż w tym złego? – Jeżeli pan chcesz wiedzieć moje prawdziwe nazwisko, jakie się mnie prawnie po przodkach należy, to chętnie je panu powiem. – Widzisz przed sobą barona Emanuela K....

– Barona Emanuela! – zawołałem, przejrzawszy jasno w moich wspomnieniach. – Barona Emanuela, rotmistrza strzelców konnych gwardii, w 1829 r. w Łohojsku!?

– Nie inaczej! – odparł baron gwałtownie wzruszony. – Rok 1829! – Łohojsk! – U Tyszkiewiczów! Tak, tak! – Pamiętam, pamiętam! – Wracaliśmy z tureckiej wojny! – Pierwszy raz doświadczyłem wtedy szlachetnej, wspaniałej, polskiej gościnności, i oceniłem zalety polskiej natury. – Odtąd pokochałem Polaków. Im się baczniej wpatruję w przeszłość, tym wyraźniej widzę i rozpoznaję rysy jej obrazu, lat biegiem i przygód zatarte, tym jaśniej robi się w pamięci mojej. – Tak – tak – tyś był tam – poznaję cię! – Tyś był tam, młody, prawie dziecko, wesoły, naiwny, sercową życzliwością dla wszystkich pałający.

– Pojąłeś stan opłakany duszy mojej i nie dałeś się odstęczyć jej goryczą i smutkiem. – Przeciwnie, niosłeś jej ulgę i pociechę, nie wiedząc sam, jakiegoś dobrodziejstwa dopełniał. – Ileż to czasu od tej pory ubiegło! ile zdarzeń dotknęło mię boleśnie – a może i ciebie! – Patrz! lica moje zwiędły, włosy posiwiały, serce zakrzepło i umysł swe blaski pastradał! – I tyś także się odmienił, aleś młody jeszcze, bardzo młody w porównaniu ze mną! – Nie doświadczyłeś jeszcze może przewrotności ludzkiej, a jeżeliś i doznał jej, to ci przynajmniej nadzieja pozostała – ta nadzieja, co dla mnie na zawsze zagasła. – Rad jestem niesłychanie, żeś mi się objawił na drodze pielgrzymki mojej bolesnej! Rad jestem, bo dawno, dawno pojąłem ciebie i przeczulem jasnowidzeniem duszy obecne spotkanie nasze, po latach tylu i przygodach tylu!

Po tych słowach, z gorączkowym wzruszeniem wymówionych i które się w głębi uczuć moich dźwiękiem uroczystym odbiły, usiadł na ławce i w myślach utonął.

I jam się także w rozpamiętywaniu pogрузił. – Lata, zdarzenia, sny omglone rozczarowaniem, uczucia zatrute goryczą, pozmykały, jakby znikome cienie przede mną. Widziałem mój dom rodzinny, błogą postać matki, przyjacielskie oblicza krewnych, uśmiechające się dziecinnej dobie mojej. – Widziałem Ukrainę, tyle sercu pamiętną. – Łohojsk, miejsce drogie pamięci, gdzie tyle czci mojej i uczuć spoczęło. Widziałem u krańców dalekich przeszłości, jasne niegdyś, promieniste słońce nadziei, obecnie omglone i chłodne, kirem żalobnym powleczone. – Milczeliśmy więc obydwaj, każdy w dumie swojej pograżony, boleścią własną zajęty. – Gwary i brzmienia balu roztrącające się o mury sal i krużganków, nie zdołały zbudzić nas z letargu, ocucić z marzeń. – A chwile biegly tymczasem, nie wiem ile ich ubiegło. – Kiedy baron powstawszy z miejsca, jakby otrząsając się, gwałtownie z bezwładności, ścisnął moją rękę i rzekł:

– Wróćmy do sali. – Jeżeli ci nic nie przeszkodzi, bądź jutro u mnie po południu. Mieszkam na Awłabarze u Ormianina Melikowa. – Spytasz o pułkownika Aleksiejewa. Takie tu na Kaukazie moje nazwisko.

– Dobrze, odpowiedziałem i rozeszliśmy się.

Nie omieszkałem stawić się nazajutrz na wezwanie barona Emanuela (tak będę go nazywał mimo przybranego nazwiska jego). Wiele był rad z mego przybycia. – Z okien jego pokoiku, militarnie w broń różną i końskie przybory ubranego, widno było całe ponurowe miasto, i daleką na krańcu

nieboskłonu, nad obłoki sterczącą śnieżną piramidę Kazbeka. – Dokoła dwóch ścian, stały otomany perskimi kobiercy okryte i opatrzone w poduszki z czerwonego safianu. – Nad łóżkiem wisiała para angielskich pistoletów, obok długiego kindżała i jatagana w srebrzystej pochwie. – Między oknami baron pomieścił na murze czyjś portret w pozłocistej ramie, kirem zawieszony. – Na stoliku leżały książki: *Werther*, *Faust* Getego, *Rozbójnicy* Szyllera, oraz *Intryga i Miłość* tegoż. – Kodeks wojskowy moskiewski, dopełniał księgozbioru. – Baron nie był po domowemu w chałacie, ale w swoim służbowym kozackim stroju i uzbrojony. – Kiedym go zapytał, dlaczego tak wystąpił na moje przyjęcie? odpowiedział:

- Później się dowiesz – a teraz siadajmy na koń i jedźmy.
- Dokąd?
- Obaczysz.

Na dziedzińcu zastaliśmy dwa dzielne konie, krwi kabardyńskiej, w pogotowiu. Świsnęły nahajki i wyskoczyliśmy za miasto, drogą ku Mschecie. Za aulem Gartiskari zwróciliśmy w lewo, dnem krętego wąwozu, nad którym piętrzyły się gradusami skały, gęstymi krzewy porośłe. Po kilku minutach jazdy przebiegliśmy łożysko bezimiennego potoku, co tryskając pianą toczył się gniewnie z jaskini. Tam rozbiegały się ściany wąwozu i wygięte łukiem obejmowały obszerną płaszczyznę, usłaną białymi skorupy amygdaloidów krzemiennej formacji. Tajemnicze było to ustronie. Tur lub dżajran odwiedzali ich chyba czasami. Chyba orzeł widywał je w swym górnym polocie.

– Tu – rzekł baron zsiadając z konia – chcę opowiedzieć tobie moją historię. Nikt jej dotąd nie słyszał, bo nikt godnym nie był ufności mojej. W tym co ci wyznać zamierzam jest miłość którą znasz zapewne, ale jest i zbrodnia której znać nie mogłeś, i zemsta której nie pojmujesz nawet, boś żył mniej ode mnie, mniej ucierpiał, a do tego.... skłonniejszy jesteś przebaczyć i zapomnieć.

(C. d. n.)



(Ciąg dalszy. – Część czwarta)

Pokład skały tworzył w jednym miejscu rodzaj szerokiego gzymsu, na którym usiedliśmy pospołu, i baron rozpoczął w ten sposób swoje opowiadanie.

– Byłem synem zamożnych rodziców. – Zamek nasz, antyczna spuścizna po przodkach, stał w pobliżu Rewla, pośród obszernych włości od dawna w naszym posiadaniu zostających. – W zamku były i baszty rogowe, i strzelnice, i bramy potężne z dębu, sztabami okute, gwoździami nabijane, i ryglami opatrzone. Mur obwodowy z ciosu, wysoko sięgający, ostrokołem opatrzony, dopełniał środków obrony od nieprzyjaciół, nie istniejących na świecie o tej porze.

Ojciec mój, żyjący tradycjami feudalizmu, był srogiej, popędliwej i despotycznej natury. – Wasale drżeli przed nim. – Słudzy bali się go jak ognia, i nie lubili; a ja syn jedynak, ostatnia gałąź starożytnego szczepu, ust otworzyć przed nim nie śmiałem.

Chroniczną podagrą dotknięty, ojciec mój przepędzał zwykle letnią porę na kuracji w Karlsbadzie. – Na jesień, wracał do domu, gdzie cały zapas odzyskanego zdrowia marnował na polowaniu. – Wtedy zamek nasz, zwyczajnie ponury, i głuchy, napełniał się hałasem i brzękiem myśliwych, wizgiem i skomleniem ogarów, traskiem harapników, i rozgłośnymi okrzyki biesiadujących.

Przy dębowym stole, ogromnych rozmiarów, zasiadali cni nemrodowie sąsiedzi nasi, w strojach łowieckich, z kordelasem u biodra i z trąbką przez plecy. – Miny gęste, wąsy potężne, brody rude, strzapiaste, formy od Niebelungów pożyczanej, były akcesoriami, ich rubasznej, grubej, absolutnej natury, bez poloru, i wędzidła. – Z tymi to na pół dzikimi ludźmi, synami średnich wieków, których tradycjami żyli, ojciec mój najochotniej przestawał, z nimi zawodził chórem jakieś odwieczne *Lieder* niemieckie, prawił o cudach łowiectwa, i wychylał rześiste puchary *Reinweinu*, lub ponczu, na złość podagrze, która, ma się rozumieć, we dwójnasób za te lekceważenie jemu odpłacała.

Lecz pośród ścian kamiennych zamku, i tych ludzi niemniej kamiennych, żyła w ustronnej celi swojej, jakby na pustyni, szlachetna i tkliwa istota, cierpieniem wypróbowana, czystością myśli i ducha święta. Domyślasz się zapewne, że tą czcigodną istotą była matka moja. – Znaczenie jej w domu było żadne; lecz znaczenie jej w sercach było wysokie. – Wasale i słudzy czcili ją,

kochali gorąco za jej słodycz, bogobojność i ludzkość. – Nie było takiego, co by się nie litował sercowie nad losem tej niewinnej gołąbki, mdlejącej bez skargi i wyrzutu, w ostrych szponach sępa. – Nie było takiego, co by się zawahał poświęcić siebie dla przyniesienia ulgi jej niedoli, rozrywki jej samotności. – Lecz cóż mogły pomóc te dobre uczucia, te życzliwe chęci, kiedy sama ona stawiała im nieprzebytą tamę, przekładając swą dolę, jakkolwiek była ciężką, nad niesławę wobec ludzi, nad wyrzut wobec sumienia, nad winę wobec Boga. – A do tego było inne jeszcze ogniwo, które ją z jej dolą jednało, i z mężem łączyło – ogniwo macierzyńskiej miłości, tego najszczytniejszego posłannictwa kobiety na ziemi. – Opuszczona, zaniedbana, nierzadko boleśnie pokrzywdzona przez mego ojca, coraz namiętniej oddającego się łowom, pucharom i rozpasanym orgiom, biedna matka moja przelała całą swą miłość, całą swą nadzieję na mnie. – Słyszeć mię, widzieć, przytulić do łona, wywołać z mej duszy jaki objaw względu, przywiązania, wdzięczności, było jej najgorętszą żądzą, największą rozkoszą. – Jakoż tej przynajmniej pociechy nie odmówiły jej nieba. – Nie było w sercu moim takiego zakątka, gdzie by nie płonęło dla niej żywe i tkliwe uczucie. – Kochałem ją nad wiek mój, nad moje pojęcie, bo miłość wielka i czysta, wywołuje miłość i przyciąga ją ku sobie. – Kochałem ją, bo mię słodycz jej, pokora, pobłażanie, wobec obelg i tyraństwa mężowskiego, rozrzewniały i podnosiły do takiego stopnia czci i uwielbienia, jakiego wyrazić nie zdołam. – Kiedy bywało, wrzaski i łoskoty ojcowskich bachanaliów dolatywały do jej pustelniczego zacisza, ona spieszyła do swego klęcznika, skłaniała czoło przed wizerunkiem Zbawiciela, i długo, długo, nieraz całe noce w modlitwie przepędzała, wzywając dla mnie Boskiej opieki, dla męża Boskiego miłosierdzia! – Bywało, uklęknie przy łóżku moim, i niemym błaganiem poleca los dziecka swego Opatrzności, i łzę cichą Bogu w ofierze przynosi, i uspieniu mojemu błogosławi. Nieraz zbudzony, widziałem białą jej postać przy sobie, czułem tchnienie jej miłości, i bicie niespokojne macierzyńskiego serca. – I był taki, co tego anioła nie oceniał! co tę nieziemską istotę pokrzywdzał! co tę świętą kobietę katował!...

Gdyby nie matka moja, byłby ze mnie łotr, urwisz, nieuk, a może i coś gorszego. – Oprócz niej nikt się mną nie opiekował, nikt nie zwracał na mnie uwagi, nie dbał, czy umiem co czy nie. – Wszystko zatem winien jestem mojej matce, i pryncypia, i naukę, i polor zewnętrzny, a to większa, prawdziwe pojęcia o godności i honorze. – Zwyczajem ojca bywało, kiedy nie bankietował z gośćmi, kazać mnie czytać głośno starą heraldyczną kronikę, o rycerskich rodach Kurlandii, Estonii i Liwonii, do których nasz ród należał. – Kiedym

przechodził z kolei do naszej genealogii, ojciec zaczynał dąć potężnie ze swojej porcelanowej fajki, sapać, i chrząkać rozgłośnie, a potem wybuchał tymi słowami, plując na wszystkie strony:

– *Höre du, dummer Kerl!* Czy rozumiesz teraz smarkaczu, kim jesteś, i jaka krew w tobie płynie? – hę? hę? – A wiesz-li *dummer Kerl*, kiedy żył nasz pierwszy protoplasta? pierwszy baron *von K...* rycerz mieczowy i komtur?...

Po tej apostrofie, zwykł imać się chronologicznych wyrachowań, w których do tyłu się zapędzał, że sadył jednym susem przez wieki, i tysiąclecia. – Najogromniejsze przestrzenie czasów przeskakiwał, aż się w końcu opierał o preadamitów, co bytem swoim wyprzedzić mieli Adama, Genezę, i Chaos!

Kiedym skończył rok piętnasty, ojciec darował mi strzelbę, kordelas i puchar, mówiąc przy tym:

– *Höre du, dummer Kerl!* – Już nie dziecko. – Dość wisiałeś przy matczynej spódnicy! – Odtąd jesteś człowiekiem dojrzałym, i powinieneś pamiętać, żeś baronem *von K...* ostatnim po mnie przedstawicielem rycerskiego rodu, któremu nie książka, ani kądziel, a broń i puchar przystoją. – Słyszałeś? – Jeżeli słyszałeś, to pamiętaj com rzekł, bo *Donnerwetter!* wytataruję ci skórę tak, że zawyjesz jak pies – i dopóty tatarować będę, aż cię nie ujrzę takim, jakim chcę żebyś był – jakim być musisz! Inaczej, wara! – Żartować nie lubię!

Po tej tkliwej tyradzie, krzyknął, aż ściany zadrżały.

– *Fritz!*

I stary *Fritz*, wierny *factotum* ojcowski, wszedł skwapliwie do komnaty.

– *Höre du alter Spitzbub!* – rzekł doń. – Przynieś kufel wina – *nur geschwind! Donnerwetter!*

*Fritz* wybiegł; wrócił niebawem i postawił na stole ordynowany napój.

Ojciec napelnił ogromny puchar, tradycyjne naczynie antenatów, które nigdy z pokoju jego nie wynoszono, wychylił do dna; znowu napelnił i podając mi one, rzekł rozkazująco:

– Pij!

Drżącą ręką wziąłem puchar – ale do ust podnieść nie śmiałem. Myśl gruntowała z przerażeniem tę bezdenną powódź napoju, to straszliwe morze, w którym kazano mi pogrążyć siebie, jakby w otchłani między Scyllą i Charybdą.

Wahanie się moje oburzyło ojca. Zerwał się z krzesła, tupnął nogą gniewnie, i grożąc mi kulakami, krzyknął basem Stentora:

– Pij! – pij! albo cię w miazgę rozgniotę! – pij! *Donnerwetter!* – pij!

Nie było rady. Opór nie był podobny. Wahanie się nie mogło mię ocalić.

Podniosłem więc złowieszczy puchar do ust. Pociągnąłem wina, raz, drugi, trzeci. Dalej nie mogłem.

– Pij! – wołał ojciec, groźny, nieubłagany jak Fatum.

Znowu podniosłem puchar. – Znowu napiłem się, walcząc ze wstrętem; i znowu przestałem.

– Pij! pij! *Donnerwetter!* – Cóż to? wahasz się, kiedy rozkazałem?

– Nie mogę ojcze! – wyrzekłem nieśmiało – nie mogę – przebacz! – Natura nie przyjmuje...

– Co?... śmiesz sprzeciwić się mojej woli?! *Hagel! Blitz! und Donner!* – Śmiesz targować się ze mną?! i łąć w żywe oczy? Jak to? syn barona von K... nie w stanie wypróżnić pucharą? – *Tausend sapperment!* – Ja cię wydziedziczę! – przeklnę! – pij!...

Słowo przeklęstwa, złamało wstręt i obawę. Podniosłem puchar z gorączkową determinacją – przytknąłem do ust pałających i piłem, piłem, piłem, zadychając się i dławiąc; piłem, czując że śmierć wlewałem w siebie, że zbytek płynu rozsadza wnętrze moje, i ciśnie, i pali, i przetrawia.

Groźne "pij!" brzmiało ciągle w uszach moich, coraz głośniejsze, huczniej, straszliwiej. Była w nim jakaś szatańska ironia – jakaś piekielna radość z odniesionego tryumfu. Zdawało się mnie, że tysiące odgłosów złowrogich, powtarzały chórem, pode mną, nade mną, dokoła, to słowo "pij!" z dodatkiem demonicznego śmiechu i oklasków.

A ja piłem, i piłem. Wir, zamieszanie, chaos, wicherzyły głową. – Skronie płonęły. – Ogień toczył się strumieniem w żyłach; a w oczach, wszystko się mąciło, płatało, zmieniało – wszystko krążyło, ruchem bezładnym, wyuzdanym, szalonym, i ojciec, i ściany komnaty, i zbroje, i hełmy, i kolczugi, i miecze, i portrety surowe przodków, i zamek cały, i świat cały!

Nagle zdało się mnie, że przede mną mignęła biała postać matki – że coś rzewnie, błagalnie mówiła – płacząc, dłonie załamała – na kolana padła. –



Potem, ktoś gniewnie zagrział – zaśmiał się szyderczo – czymś ciężkim cisnął gwałtownie – ktoś jęknął – upadł – i noc mię owionęła – i straciłem zmysły – uczucia, pamięć, pojęcia, zamierzchły – co potem było? nie wiem.

Kiedy przyszedłem do siebie (po kilku dobach nieprzytomności, jak mi powiedziano później), głowa mi pękała od bólu, i powieki ciężły kamieniem na źrenicach. Nie mogłem zrazu zdać sobie sprawy z obecnego stanu mego – mniej jeszcze z tego co stan ów spowodowało. Tyle tylko pojąłem że mój chorą – że leżę w łóżku – i że ktoś nade mną płacze.

Noc była. Mdłe światełko lampy migalo w kątku pokoju. – Wiatr szumił w pustych basztach zamku, lub świstem żalobnym zawodził złowrogo. Rozkołysane sosny i jodły, majaczyły w oknach jakby ciemne upiory. Było smutno, groźnie, straszno, dokoła mnie. Było smutno, ciężko, boleśnie we mnie. Gdzie byłem? prawie rozumiałem. Co się działo ze mną? ledwie pojąć mogłem. Co mię czekało? duch odgadywał, i serce przeczuwało – bo cierpiałem, mocno cierpiałem – a świat wydawał mi się pustynią – a zamek grobowcem. – Znowu mię zmysły opuściły.

Ile chwil przeszło, snu, czy omdlenia, powiedzieć nie mogę. – Pamiętam tylko, że kiedym oczy otworzył, blask poranny zaglądał w okna, i stary *Fritz* klęczał przy łóżku moim z obliczem pochylonym, jakby w modlitwie pogrążony.

W umyśle czułem niemoc wielką – zupełny prawie brak władz sądu i kombinacji – jakby senność jakąś nieprzewyciężoną. Wyobrażałem sobie, że świat jakiś fantastyczny, roztaczał dokoła mnie swe zaczarowane kręgi, z których wyzwolić się duchem nie mogłem, jakby na wieczną nieruchomość woli skazany.

Miałem ja wprawdzie dość trafne pojęcie swego stanu; poznawałem pokój mój i poczciwego Fritza, czuwającego przy mnie, ale były chwile, że na tę rzeczywistość obrazu, opadały jakieś mgliste, i żalobne zasłony, całunów i kirów, z których łzy, niby ściekały kroplami, i krew się sączyła.

Był to zapewne bred gorączkowy, nic innego – a jednak pewny byłem że te straszliwe zjawiska nie były złudzeniem, ale prawdą! – pewny byłem, że słyszę w dali, jakiś chór żalobny, jakby śpiew pogrzebowy kapłanów, co się unosił nad zamkiem, to głośny, to słabnący, to zupełnie w przestrzeni rozwiany, jak owe brzmienia eteryczne arfy Eola, z którymi rzeźwią się wiatry, i powiewy igrają.

Nadszedł na koniec dzień przesilenia choroby mojej. Młodość wzięła górę nad niemocą – śmierci zdobycz jej wydarła. Troskliwość Fritza była narzędziem Opatrzności, która snadź, miała swoje cele, wracając mię do życia od progów grobu, gdzie znalazłbym pokój, nieznany na ziemi, i tak sercu mojemu pożądanym! Nie było chwili, żeby ten dobry starzec nie czuwał nade mną. Dnie i noce trawił przy moim łożu boleści, zapobiegając chorobie środkami, które z długoletniego doświadczenia zaczerpnął. Jakoż pośród gorączkowych widzeń moich, po większej części straszliwych, zawsze spotykałem uczciwą, przychylną twarz Fritza, łagodzącą srogość obrazów, przed którymi truchlałem z przestachu.

Zdarzyło się tak, że ocknąwszy się pewnego dnia, poczułem się przytomniejszym i zdrowszym. Zmysły wróciły do normalnej równowagi, i rozsądek swe dawne prawa odzyskał. Słońce wnikało słupem promiennym do pokoju. Słysząc było śpiewy i szczebiotanie ptasząt rzeźwiących się w eterze. Zdarzało się, że obfitymi źródłami płynęło wesele z łona wiosennej natury; że uśmiech rozkoszy i nadziei promienił się w każdym jej zjawisku, w każdym jej blasku i cieniu. A przecież, mimo uczucia ulgi, mimo błogości fizycznego pokoju, na duszę moją wiało tęsknotą, i bolesnym przecuciem trącone, serce truchlało.

W tej chwili wszedł do mnie Fritz z jakimś kordialem, i prosił żebym wypił. – Spełniłem jego żądanie; poczym wezwawszy go żeby usiadł przy mnie, zapytałem:

– Czy dawno już choruję?

– Oj – dawno już panie kochany! – Więcej niż miesiąc! – odpowiedział. – Ale chwała Najwyższemu, wkrótce pan zupełnie zdrow będziesz, – najgorsze minęło – złe minie prędko. Trzeba tylko pokoju i ostrożności.

Rzekł i uśmiechnął się, całując rękę moją.

Nie wiem czemu, ale zdawało się mnie, że ten uśmiech jego nie był zupełny – że gorycz jakaś truła swobodę jego – że smutek mglił go i chłodził.

– Cóż było przyczyną mojej choroby Fritz? – rzekłem po chwili. – Pamięć zdradza mię. – Nie wiem co było? i jak było?

Fritz opuścił czoło, i zamyślał się, nim odpowiedział:

– Nie wiem, co było powodem choroby pańskiej. – Widać taka była wola Boga.

– A matka moja biedna! ile cierpieć musiała!

Fritz westchnął głęboko, i jakby dławiąc łkanie wewnętrzne, rzekł drżącym głosem:

– Tak – biedna pani! – biedna!

– Pewnie dnie i noce przy łóżku moim trawiła, odmawiając sobie spoczynku? Płakała i modliła się? – Wszak prawda? Fritz – O! znam ja tkliwe jej serce! – Gdzież teraz ona? – Czy dawno tu była?

Fritz był blady i drżący, ale usiłował panować nad sobą. – Wziął konwulsyjnie rękę swoją, przycisnął do ust, i długo, długo całował. – A ja czułem, że ją lzy gorącymi oblewał, słowa nie mogąc wymówić.

– Co tobie Fritz? – zapytałem – czemuś taki wzruszony? Czego płaczesz?

– Nic panie – odpowiedział, przewyciężając siebie. – Płaczę... z radości, że żyjesz, bo niebezpiecznie byłeś chory – bardzo niebezpiecznie!

Stan osłabienia w jakim byłem, nie dozwolił mi dalszej rozmowy. Nie dostrzegłem nawet, że Fritz na zapytanie moje o matce nic nie odpowiedział. Snadź, umysł podzielał jeszcze niemoc ciała, i zupełnej świeżości swojej nie odzyskał.

Tak przeszło dni kilka. Fritz uchylał się ciągle od stanowczej odpowiedzi. Zmyślał zręcznie pytania moje. Odegrał rolę, troskliwością serca przepisaną. Z potrzeby, stał się aktorem, i kłamał, chociaż miłował prawdę, i kłamstwem się brzydził.

W miarę, jak siły wracały, zacząłem wpatrywać się bacniej w przygody i zjawiska, pamięcią dochowane, i wyciągać z nich treść objaśniającą niektóre zagadkowe chwile długiej mojej choroby.

Smutek, niedostatecznie ukryty Fritza, niepokoił mię. Więcej jeszcze niepokoiła ta okoliczność, że w godzinach zupełnej przytomności, ani razu nie widziałem matki mojej przy sobie; ani razu głosu jej nie słyszałem, ani szmeru jej sukni; chociaż być nie mogło, żeby nad chorym synem nie czuwała, ona! tak tkliwa i kochająca!

Cóżby to znaczyć miało?

Może ją trud i zmartwienia przemogły?

Może chora! – a jeżeli chora – to któż czuwa nad nią? kto radzi w chorobie? kto cierpieniom zapobiega?

Jeżeli rzeczywiście chora, Fritz nie powie, żeby mię nie zatrwożyć, i zdrowiu niezupełnie ustalonemu nie zaszkodzić.

A więc, należy udać spokójność – uspić czujność Fritza – i przekonać się samemu o stanie rzeczy.

Powziąwszy takie postanowienie, uspokoiłem się nieco. Kiedy wypilem z rąk Fritza kordiał pokrzepiający, którym traktował mię codziennie, udałem, że mię sen zaczyna przemagać, i opuściłem się na poduszkę.

Fritz zasunął firankę, wyszedł z pokoju, i drzwi zamknął za sobą. Ale był inny wychód na korytarz prowadzący do mieszkania mojej matki, i ten nigdy nie był zamknięty.

Skoro się Fritz oddalił, wstałem z łóżka, z niemałą trudnością; wdziałem na siebie co się pod ręką nadarzyło, i trzymając się ściany, bo nogi ugiwały się pode mną, wkroczyłem w cieniste przejście korytarza.

Wyrazić nie zdołam, jak mi się nagle smutno zrobiło – jaką boleścią zadrgało serce! O małym nie upadł. Trzeba było całej siły postanowienia, żeby przemóc niemoc fizyczną i wrzawę moralną, jakich doznawałem.

Doszedłszy do drzwi, za którymi kryła się tajemnica tyle mię obchodząca, upadłem duchem, i dłoń poruszyć klamki nie śmiała. Całe wnętrze moje wzdrygało się wobec straszliwej myśli jakiejś, z której zdać sobie sprawy nie mogłem. Ukląknę i zmówiłem modlitwę. Poleciałem Bogu matkę moją i siebie. A gdy powstałem, wiary balsamem pokrzepiony, śmiało pocisnąłem klamkę – drzwi się rozwarły – i wszedłem.

(C. d. n.)



(Ciąg dalszy. – Część piąta)

Chłodem powiało na mnie z wnętrza pokojów, jakby wilgotnymi wyziewy mogiły. Okna były zamknięte – firanki opuszczone – w mroku perłowym panowało głuche milczenie.

– Matko moja! zawołałem. – Gdzieś ty?...

Wołanie roztrąciło się o nieme ścian załomy i sklepienia – żadnego nie wywołało echa, żadnej żywej odpowiedzi.

Wkroczyłem do sypialni. – Tenże mrok tajemniczy – ten sam chłód mogilny – i także milczenie.

Pościel posłana starannie. – Odzienie porozwieszane jak zwykle. – Na klęczniku książeczka do nabożeństwa i hebanowy krucyfiks; jedyna ucieczka matki mojej, i pociecha.

Ale, któż zawiesił ów krucyfiks krepą? – Dlaczego i portret matki mojej kirem osłoniono? – Co znaczą te godła żałoby? Gdzie życie co tu tchnęło? – Gdzie ciepło uczuć macierzyńskich co tu pałało? – Gdzie ten głos tkliwy, co mię pozdrawiał, nauczał, pocieszał? – Gdzie matka moja?!...

Stałem jakby piorunem rażony.

Wtem, postyszałem kroki zmierzające ku drzwiom. – Poznałem chód powolny starego Fritza. – Sam nie wiedząc czemu, skryłem się za pawilonem łoża i czekałem.

Fritz wszedł z pochylonym obliczem, blady i uroczysty. – Ukląkł przed krucyfiksem; kornie czołem uderzył, i długo, modląc się cicho, w tej postawie zostawał.

Potem poszedł do portretu matki mojej – podniósł zasłonę, spojrzął – i gwałtownym rozszlochał się płaczem.

Pierś zaledwie mogła pomieścić łkania jego – rozdzierała się jękiem bóleści i rozpaczy – a z ust starca biegły natłokiem jakieś niezrozumiałe mi słowa, znów złorzeczenia i przekleństwo, odbijające straszliwie na tle jego żalu i modlitwy.

Przejrzałem jasno. – Tu było nieszczęście! – Tu była zbrodnia! – Był kat, i była ofiara! – Pojąłem, że w tej chwili miał się rozwiązać los mój! – Że miała stanąć przede mną prawda naga, ohydna, straszliwa; Harpia moich przeznaczeń – Eumenida życia!

– Fritz! – zawołałem, występując z kryjówki mojej – Fritz! – Mów teraz co wiesz – co było – i co jest. – Mów! boś powinien – Bóg chce tego – i sumienie każe!

– Powiem! – rzekł Fritz uroczyście, zdziwiony, i przerażony niespodzianym ukazaniem się moim. – Powiem! ponieważ pan wiele już widziałeś – odgadłeś wiele zapewne. – Krzep się więc duchem, panie mój kochany! – Nie upadaj pod ciosem jaki ci zadać muszę! – Ufaj Bogu – nie rozpaczaj – i bądź mężem!

Kiedy tych słów domawiał, spełnił się nagle we mnie fenomen jasnowidzenia, w którym odżyły wyraziście wszystkie barwy i zarysy zdarzenia, dłonią choroby w pamięci mojej zatartego. – Zdało mi się, że lampa jakaś cudowna roztoczyła w tej chwili swe blaski w umyśle; że widzę, słyszę, pojmuję to, co mrokiem zapomnienia powleczone było; że to co było, znowu się powtarza na jawie przede mną; i groźne naleganie ojca, i ten puchar bezdeny, który mię wychylić przymusił, i mój bezskuteczny opór, i ten zamęt myśli, rozsądku, przytomności, wśród którego przeniknęła, jakby błogie zjawisko, biała postać matki, błagalnie wstawiając się za synem, surowo odtrącona i znieważona! – Znowu odbił się w duszy mojej głos jej rzewny, jęk bolesny i cios ciężki, który ją obalił!...

– Fritz! – zawołałem. – Wszystko odżyło w pamięci mojej – Wiem wszystko! – Mów teraz! – Mów! – On ją zabił? On?

– Oby jemu Boskie miłosierdzie przebaczyło! – rzekł Fritz, a ty, panie, przebacz jemu, albowiem On ojcem twoim!

– Gdzie ona?

– Był obłąkany trunkiem, kiedy zbrodni dokonał – ciągnął dalej Fritz. – Gdy nazajutrz ujrzał martwe ciało swej ofiary, padł bez zmysłów, i długo w tym stanie zostawał. Przywołany lekarz z Rewla ocucił go wprawdzie, ale umysłu uzdrowić nie zdołał. Znajduje się obecnie w zakładzie obłąkanych bez nadziei. – Tyś teraz panem włości jego i zamku. – Tyś naszym panem. – Strata, którą

poniosłeś, bolesna, okropna, niczym niepowetowana! – Nasz anioł opiekuńczy uleciał w niebiosa! ziemię zasmucił i osierocił! Ale lepiej tam jemu niżeli tu było! – Ona szczęśliwa teraz po trudach i cierpieniach przed obliczem Boga. – Modli się za ciebie, panie, czuwać będzie z wysoka nad tobą, i błogosławi tobie. – Przebacz więc ojcu, bo nie wiedział co czynił – zapomnij wad jego, bo srodze ukarany – nie złorzecz jemu, bo grzechem jest – zlituj się nad nim, bo nieszczęśliwy! – Lecz imieniem tej, której pamięć powinna być tobie świętą, wymagam, żebyś mścił, wedle sił twoich, na człowieku co pochlebając ułomnościom ojca twego, drażniąc dumę jego, wyszydząc wszystko co godziwe, szlachetne, święte, i potakując namiętnościom jego, doprowadził go w końcu, do czynów gwałtu, niesprawiedliwości i sromoty! zrobił z niego tyrana żony, wroga własnego syna, bluźniercę przeciw religii i odstępcę Boga! On to właśnie zabił matkę twoją panie! bo zepsuł serce jej męża. – On ją zabił! bo wobec ojca twego miotał szyderstwem na jej uległość, cierpliwość, i świętość. – Ja dla niego nie mam nic jak tylko złorzeczenie i przekleństwo! – Ty, panie, miej dlań zemstę!

– Kto on taki? – zawołałem – kto? – mów prędzej!

– Baron Arnold N... – rzekł surowo Fritz.

– Gdzie on?

– Nie wiem. – On nietutejszy. – Z Mitawy podobno, albo z Rygi. – Kiedy się dowiedział o nieszczęściu, do którego się najwięcej przyczynił, znikł nagle, i gdzie jest, rzec nie mogę.

– Fritz! – rzekłem doń. – W imieniu tej, której życie radbym był własnym życiem okupić, przysięgam, tu, wobec tego przenajświętszego wizerunku męki Zbawiciela, że w miarę sił moich mścić będę na baronie Arnoldzie N... jako sprawcy podwójnej żałoby mojej, bo i ojca nie mam, i matkę straciłem. – Amen!

– Amen! – przemówił starzec – i oby Bóg przedwieczny, opiekun sierót i niewinnych, dopomógł panu memu w tej sprawiedliwej i świętej sprawie!

Te słowa były ostatnie, którem dnia tego wyrzekł, i słyszał, albowiem, wzruszenia jakich doznałem, pograżyły mię znowu w chorobę, długą i niebezpieczną, z której dopiero przy schyłku lata powstałem.

Wrzesień był na niebie, kiedym raz pierwszy, opierając się na ramieniu wiernego Fritza wyszedł, świeżym odetchnąć powietrzem. Dzień był

prześliczny! Promienie południowego słońca rozciągały dokoła żywotne ciepło, radośnie opiewane powietrznymi chórami ptasząt i brzękiem owadów przelotnych. Żywa harmonia przestrzeni wznosiła się nutą ofiarną ku niebu, jakby hymn świata dziękczynny. Było błogo, jasno, wonnie, cudownie w naturze – lecz w sercu moim, o! jakże inaczej było! Wszystkie porywy młodzieńcze, przedwczesna starość moralna zabiła! Wszystkie zdroje, gotowe trysnąć z serca wiarą, miłością, nadzieją, by unieść życie moje w błogie krainy ułudy i rozkoszy, wyschły i zmarniały! Kiedy inni, szczęśliwsi, marzyli o sławie i szczęściu, i ufni w obietnice przyszłości, wieńczyli skroń pogodną kwieciami uśmiechów i wesela, ja połykałem łzy gorzkiego sieroctwa, dźwigałem straszliwe brzemię wiecznej żałoby, i życie krwawej zemście poświęcałem. Daremnie Fritz pocziwy krzepił mię słowem nadziei, pocieszał słowem przychylności! Daremnie usiłował zerwać kir tęsknoty z myśli mojej i z duszy. Nadto srogim, nagłym, nieprzewidzianym ciosem ugodzony, nie mogłem już przestać być czym byłem! Nie mogłem odnowić w sobie ani dawnej natury, ani dawnego życia! bo całe wnętrze moje, burzą nieszczęścia spustoszone, było niczym innym, jak ciemną jaskinią, siedliskiem rozpacz i zemsty!

Całe dwa lata przepędziłem w domu, krzepiąc siły moje leniwo powracające. W zamku przez nikogo nieuczęszczanym głucho panowało milczenie. Nie było już w nim wrzawy łowieckiej, ani gwaru i okrzyków uczującej zgrai. Trawy na dziedzińcu porośły. Brama drzemała nieruchomie na swoich wrzeciędach. Rusznice i kordelasy myśliwskie okrywały się rdzą i pyłem, a konwie i puchary pradziadów, do rześzystych nawykłe libacji, schły od pragnienia w swoich szafach.

Podział godzin moich odbywał się codziennie według jednej i tej samej normy. Było to, w pełnym znaczeniu słowa, życie klasztorne, pustelnicze, poświęcone rozpamiętywaniu i kształceniu umysłu czytaniem dzieł poważnych i pouczających.

Co ranka odwiedzałem świątynię mego serca, ów pokój samotny matki mojej, gdzie pod skrzydłem jej tkliwej opieki, dziecinne przepędziłem lata. Modliłem się tam za jej duszę, za biednego ojca mego, i miłosierdziu Opatrzności własną polecałem przyszłość. Były to chwile uroczystego żalu, głębokiej i rzewnej boleści, a razem surowego poglądu na życie – chwile, w których objawiały się mnie wysokie prawdy moralne i społeczne, tłumacząc treść głównych warunków doczesnego bytu człowieka. Żadna filozofia nie nauczy tyle, jak modlitwa, samotność i cierpienie. Nie ma dzielniejszego klucza



zadań bytu, jak serce skupione w sobie, i wpatrujące się w siebie. Nie było więc dnia, żebym czegoś nie rozważył i nie dociekl; żebym się nie uszlachetnił i nie wzbogacił duchowo.

Skoro mrok wieczorny opadł, Fritz zgromadzał całą usługę zamkową i szliśmy wszyscy do kaplicy odmówić pacierz za duszę matki mojej. Potem podnoszono płytę kamienną sklepu, i spuszczaaliśmy się doń, z pochodniami. Tam stała na gradusach trumna świeża, w gronie starych rodzinnych trumien. Przed nią klękaliśmy hołdownie i śpiewaliśmy psalmy żałobne. I tak schodził nam dzień po dniu.

W ciągu dwóch lat Fritz robił kilkakrotne wycieczki do Mitawy i Rygi, dla powzięcia języka o baronie Arnoldzie N... Nic o nim pewnego nie wiadano. Według jednych, miał wstąpić do wojska; według drugich, wyjechał zagranicę. A że ziemskiej posiadłości żadnej nie posiadał w przybałtyckich prowincjach, nie było go sposobu wytropić. Zostawiłem więc trafowi rozwiązanie tej zagadki; a że stan zdrowia mego znacznie się polepszył, a pieniędzy miałem pod dostatkiem, zająłem się czynnie przygotowaniem do wyjazdu zagranicę, gdzie, tuszyłem sobie, że napadnę w ślad barona Arnolda, dobrze mi znajomego z twarzy.

Ostatnich dni kwietnia, polecivszy zarząd majątku wiernemu Fritzowi, i wzięwszy bankierskie kredytowe listy, na Berlin, Wiedeń, Londyn i Paryż, puściłem się w drogę. Tkliwe było moje pożegnanie z Fritzem; rzewniejsze jeszcze z zamkiem przodków, i z grobem matki mojej. Puszczałem się w dal głęboką świata, na czas nieokreślony i bez stanowczego planu, któremu traf ślepy miał tylko przewodniczyć; albowiem nie szło mi ani o zabawę, ani o zaspokojenie ciekawości, ale jedynie o wynalezienie barona Arnolda. Zwiedziłem Prusy, Austrię, Anglię i Francję, a dni mijały i lata. W Paryżu zabawiłem dość długo, wnioskując, że w tym ścieku społecznych mętów całego świata łatwiej będzie odszukać człowieka, którego do mętów zaliczałem, i dopełnić nad nim zaprzysiężonej zemsty.

Jakoż, nie było teatru, bulwaru, spaceru, kawiarni, gdzie bym go nie szukał. Wszystkie męskie oblicza uległy mojemu badaniu. Nadto, opłacałem komisjonerów i garsonów hotelowych. Byłem nawet u prefekta policji. Lecz wszystkie zabiegi moje na nic nie posłużyły. Zdało mi się jednego razu, *au bois de Boulogne*, że ktoś podobny do barona Arnolda karakolował obok eleganckiej landary, pewnej, wielce z piękności wślawionej lekkiej damy. Puściłem się z

całej mocy za nim – wyprzedziłem, i spojrzałem w oczy. Nie był to baron Arnold, ale Francuz jakiś, który widząc nieznaną figurę tak baczenie śledzącą jego oblicze, rzekł do swej Dulcynelli: *Quels sont bêtes ces russes!*

Epitet, jakim się wyraził, nie zdziwił mię wcale, bo rzeczywiście musiałem wydać się jemu nie przy zdrowych zmysłach; ale dlaczego wziął mię za Moskala, nie pojmuję. Podobne zdarzenie spotkało mię także u podnóża kolumny Vendôme i jeszcze z jedną małą odmianą w Jardin des plantes. Zniechęcony niepowodzeniem pojechałem do Rzymu. Myślisz może przyjacielu, że w tej stolicy starożytnego świata, przodkującej arcydziełami sztuki, świetnością pomników i ogromem pamiątek, zapomniałem, chociażby na chwilę o głównym celu podróży mojej? Nie! Ani bazylika św. Piotra z potrójną aureolą swoją, Aramanta, Michała Anioła i Rafaela, ani Coloseum tak wspaniałe w rozgromie swoim, ani łuk tryumfalny Adriana, nie zdołały zmylić mię z toru. Oczy miały te przesławne dzieła wieków, duch się mój nie skłaniał przed nimi hołdownie, bo oczy i duch były pod wpływem jednego tylko dążenia, jednej przemagającej myśli, myśli szkaradnej, zbrodniczej. Zemsty koniecznej, nieubłaganej! Zemsty, za ojca mego! za krew mojej nieszczęsnej matki! Zemsty w młodym sercu moim przez poczciwego ale bezrozumnego Fritza zaszczerpionej, podniecanej i ożywianej ustawicznie.

Jedyna korzyść jaką odniosłem w Rzymie, była ironia dla sławy miejsc i ludzi i apatia do wszystkiego co wielkie i święte.

W każdym miejscu, gdzie zamierzałem dłużej zabawić, odmieniałem nazwisko moje dla lepszego zamaskowania się przed baronem Arnoldem, jeżeliby nas traf zbliżył. Do Mediolanu przybyłem jako baron von Rosenblum. Tegoż wieczora udałem się na teatr della Scala. Dawano *Narzeczoną z Lammermooru*. Zapomniałem powiedzieć tobie, że lubię namiętnie muzykę. Wszystkie struny duszy mojej brzmią dźwięcznie, gdy je zachwyty muzykalny obudzi, gdy je tęskna bolejąca nuta do rzewnego współczucia powoła. Śpiew patetyczny, spianato Rubiniego przechodzący z ognia porywów namiętnych do rozkosznej morbidez, z burzy sercowej do sercowego pokoju wywarł na mnie niewypowiedziane wrażenie. Była chwila, żem zmiękczał dla zemsty. Była chwila, żem zaniechał przeglądu łóż i parteru a pogrążył się całym jestestwem w czarodziejstwie sceny i harmonii. Po cudnej melodii *Fra poco*, którą publiczność hołdem uniesienia powitała, posypały się wieńce na Rubiniego i teatr drżał od okrzyków i oklasków.

W sąsiedniej łoży najwięcej robiono hałasu. Siedziały tam dwie młode i piękne damy, typem i mową mediolanki córki muzykalnej Italii a więc zdolne do natchnienia i porywu. Z tyłu było dwóch mężczyzn; jeden w kwiecie wieku, drugi sięgający jesieni życia. Poznałem w nim (wyobraź sobie radość moją!) poznałem barona Arnolda!

Opadła zasłona. Publiczność powstała, i ruszyła ku drzwiom. Za sąsiadkami moimi poszli obaj mężczyźni – a ja za nimi. W natłoku wychodzących nie traciłem z oczu barona. Zmysłami i duszą przyglądnąłem doń, i jako cień towarzyszyłem jemu na ulicę. Damy siadły do powozu z młodym mężczyzną. Baron poszedł sam jeden – i ja pomknąłem w ślad za nim.

Kiedy wszedł do hotelu i podniósł się na schody, zapytałem odźwiernego:

– Kto ten pan?

Odźwierny, zmierzył mię od stóp do głowy, ruszył ramionami, i wyrzekł do mnie:

– A na co wam?

– Na to! powiedziałem, wsuwając mu w łapę franczeskona.

Udobruchany Cerber uległ sile argumentu, i uśmiechając się uprzejmie, rzekł z niskim pokłonem:

– Ten pan niedawno u nas. Nazwiska nie znam. Przyjechał z Paryża. Za dni kilka wyjeżdża do Neapolu. Zajmuje w hotelu numer 15 na górze.

Całą niemal noc pisałem do Fritza. Oprócz listu, posyłałem jemu rozporządzenie majątkowe na wypadek mojej śmierci. O godzinie 8-mej z rana pośpieszyłem do barona Arnolda. Jeszcze był w łóżku kiedy wszedłem. Nie poznał mię, i zdumiał się na widok nieznanego.

– Czego pan chcesz? – zawołał niecierpliwie. Nie wiem kto jesteś, nie możesz zatem mieć do mnie interesu.

– Niech pan będzie cierpliwy – rzekłem, hamując nienawiść gotową wybuchnąć. Poczym, przysunąłem fotel do jego łóżka, i usiadłem.

– Czy pan znałeś barona Wolfganga F... w zamku Eulenburg koło Rewla?  
– zapytałem, przystępując do rzeczy *à bout portant*, jak mówią Francuzi.

– Do czego zmierza to pytanie? – fuknął gniewnie zagadniony. – Co panu daje prawo ciągnąć ze mnie indagację?

– Czy pan znałeś barona Wolfganga F...? – powtórzyłem surowo i groźnie. – Muszę mieć jakieś prawo pytać go o to, kiedy pytam.

Baron Arnold wyskoczył z siebie. Wściekłość zaogniła mu lica. Potem zbladł, i wyrzekł konwulsyjnie:

– No i cóż z tego że go znałem?

– A baronową Eleonorę F... czy pan także znałeś? – zapytałem nie spuszczając oka z jego oczu.

– Znałem.

– Dobrze – a wiesz-li o tym, że baron Wolfgang, obłąkany trunkiem, zabił swoją żonę – a gdy przyszedł do siebie, zwariował z rozpaczy?

Na te słowa, wstrząsł się baron Arnold, jakby spazmem konwulsyjnym rażony, i długo ust otworzyć nie mógł.

– Czyż być może? – przemówił w końcu.

– I był taki nikczemnik – ciągnąłem dalej – co się do tej zbrodni straszliwej przyczynił. On użył swego wpływu na słabą naturę barona, żeby go wtrącić w coraz głębszą przepaść nałogu i zepsucia! On wyrwał z jego serca wszystkie rozsądne i szlachetne popędy! Wzmógł jego dumę, despotyzm, bezbożność! a w końcu zrobił z niego mordercę wiernej, przychylniej i cnotliwej żony!

W miarę jakem postępował w opowiadaniu, rosło pomieszanie barona Arnolda. Nie mogąc uleżeć w łóżku, usiadł, i blady, prawie siny, przemówił drżącym głosem.

– Któż był ten nikczemny?

– Baron Arnold N...! – rzekłem groźnie, powstając z miejsca. – Żadne przeczenie tu mieć wagi nie może. Wiem z pewnością, że tak było rzeczywiście, jak powiedziałem. Nie trudź więc siebie pan daremnym zaparciem się faktu, którego realność wszystkim wiadoma. Teraz wiedz, że widzisz przed sobą syna tego, któregoś zgubił! syna tej, której śmierć przedwczesna była dziełem twoim! Szukam już ciebie od lat kilku. Niech się więc zemsta moja nasyci, bo dawno

czeka, i dłużej czekać nie zdoła. Mógłbym cię zamordować w tej chwili, i tym zakończyć rachunek – ale nie chcę w ten sposób z tobą postąpić. Wzywam ciebie na bój śmiertelny, stawiając i własne życie na szalę. Kiedy? – dziś – natychmiast! Gdzie? – o strzał karabinowy za miastem, w laurowym lasku nad montańską drogą. – Broń? – pistolety! – Proszę o słowo!

Baron milczał. Twarz jego wyrażała wściekłość tłumioną gwałtownie, obok wzgardliwego sarkazmu, co drżące i sine usta jego wykrzywił. Spojrzał na mnie z wysoka, zaśmiał się ostro i prowokacyjnie. Potem rzekł:

– I słowa nie dam – i bić się nie będę! Cóż to do mnie należy, że ojciec waćpana lubił się upijać, i że będąc pijanym, zabił żonę swoją? Czy jest taki kodeks na świecie, co by mię za to obwinił, że człowiek, daleko starszy ode mnie, a więc mogący mieć swoją wolę, postępował według swej woli? Zanadtoś młody mój panie! Źle rezonujesz. Myślisz żeś na fircyka natrafił, że zechce podzielać twoje donkiszotowskie fantazje, i swój łeb nadstawi dlatego tylko, że się tobie jakieś głupstwo uroiło?

Te słowa jego były iskrą, której tylko nienawiść moja czekała. Jakoż wybuch jej był gwałtowny i straszliwy. Krew zawrzała. Zmysły się zmąciły. Nie pomnę com wyrzekł i com zrobił, ale kiedym ochłonął po chwili, baron wyrwany z pościeli, leżał już na podłodze, w bieliźnie poszarpanej na szmaty, a krew sączyła się po jego bladej twarzy, i włosy potargane jeżyły mu się krzaczysto na głowie...

– Teraz, mój panie – rzekłem – nie myślę żebyś odmówił pojedynku. Dzisiaj będą wiedzieć w mieście, o tym co ciebie spotkało. Jeżeliś tedy nie podły tchórz, staniesz na placu ze mną. Wiesz już, gdzie? kiedy? i jaka broń? – Czekać będę!

I wyszedłem.

(C. d. n.)



(Ciąg dalszy. – Część szósta)

Miałem na moje nieszczęście jednego znajomego, który ze mną razem do Mediolanu przyjechał. Był to Francuz, niegdyś wojskowy, Gaskończyk przy tym, co było rękojmą odwagi i zamiłowania awanturnicznych przygód. Nazywał się Figeac. Wiedziałem gdzie stanął w gospodzie. Poszedłem więc do niego.

– *Tiens, c'est toi!* – zawołał, widząc mię wchodzącego. – *Tu es bon garçon, bienvenu!* – *C'est embêtant, votre Milan, que le diable l'emporte!* – *Je vais décamper!*

Wyrecytowawszy polotnie swoją tyradę, owianą gęstym dymem, co się z jego *brûle-gueule* unosił, uściskał mię jak starego przyjaciela (znaliśmy się od 3 dni), posadził przy sobie i podał cygaro.

Przystąpiłem do rzeczy. Opowiedziałem zdarzenie moje z baronem Arnoldem i prosiłem, żeby chciał asystować przy pojedynku w charakterze mego sekundanta.

Skoczył z radości na tę propozycję, uściskał mię powtórnie i wykrzyknął, puściwszy potężny kłęb dymu:

– *Voilà qui est à parler! parbleu! morbleu! corbleu!* – A umiesz-że strzelać?

– Umiem.

– A dobrze?

– Dobrze!

– *Fichtre! tant mieux!* boś dobry chłopiec, i żałowałbym ciebie! Chociaż, żebyś został zabitym przez tego przeklętego barona, *je lui aurais enfoncé dix pouces de fer dans le ventre – c'est toujours agréable d'être vengé!* – *hein?* – A kiedyż ma się odbyć pojedynek?

– Natychmiast.

– *Cela me va! Corne de boeuf!* – Mam parę segalasówek. Wezmę kul i prochu. – *C'est un duel à mort dis-tu? Eh bien, foi de Figeac! Nous allons mitrailler ce damné baron, et puis chanter à ses funérailles! Qu'en dis tu mon garçon?*

Rzekł, i począł zwijać się i krzątać. Latał od kąta do kąta. Wyjął pistolety z futerałów, przedmuchał lufy, spróbował kurki, wydobył z kuferka rozek z prochem i torbeczkę z kulami. Włożył to wszystko do wielkiego *sac de voyage*, który zawiesił sobie przez plecy, zaintonował kozim głosem swawolną piosnkę Beranżera "*Les Moeurs*", nakrył głowę kaszkietem *à la jockey* – i był gotowy.

Nie uszło kwadransa, siedzieliśmy już na murawie, w owym lasku laurowym na mantuańskim gościńcu, który miał być świadkiem krwawego spotkania mego z baronem. Poczciwy Figeac, gaduła i blager jakich mało, nie dawał pokoju swemu językowi. Anegdoty, blagi, *concetti* rozmaitej treści i barwy sypały się u niego jak z rękawa; a każda z tych ulotnych improwizacyj jego gaskońskiej werwy służyła za ramkę jakiejś strofie *La Fare'a*, *Chaulieu*, *Désaugiers'a* lub *Parnego*, których cały niemal ogromny repertuarz, wcale niebudującej treści zawarł w pamięci swojej.

Co do mnie, słuchałem nie słysząc, a jeżeli i słyszałem, to tylko jako szmer, gwar, brzęk, drażniący organa słuchu, lecz nie wnikający ani do umysłu, ani do serca, bo nie byłem i być nie mogłem spokojnym. I cóż dziwnego? Wszak stałem wobec chwili może ostatniej dni moich! Gotowałem się przyjąć śmierć, lub ją zadać – rozstać się z życiem, albo zostać na ziemi, żeby dźwigać na sumieniu straszliwe brzemię zabójstwa, ów gład wieczny Syzyfa, co ledwie wtoczony do góry, znowu nań całą swą kruszącą wagą opadał!

Kiedym się myślom takim oddawał, Figeac spojrział na zegarek, i rzekł:

– Od godziny jesteśmy na placu, a barona jak nie ma tak nie ma! *Serions nous joués?* Według zasad pojedynku, mamy prawo ostrzelać plac i wrócić do domu. *Si je l'attrape, ce lâche poltron, je te promets, de lui administrer sur l'échine, une gentille volée de coups de baton – Corne de boeuf!*

Dałem wszelką swobodę wybuchom niecierpliwości mego zapalczego sekundanta, w przekonaniu, że nim swoją litanię klątw, złorzeczeń i pogroźek zakończy, upłynie druga godzina, a tego mi właśnie i trzeba było. Stan, w jakim zostawiłem barona Arnolda, był tego rodzaju, że mógł usprawiedliwić poniekąd jego opóźnienie. Nie zdawało mi się szlachetnym korzystać z tej okoliczności zanadto skwapliwie i ogłaszać nikczemnym tchórzem człowieka, któremu skutki mej zapalczowości (nie pozbawionej, sam przyznasz, słusznych pobudek) mogły nie dozwolić stawić się w porę na placu. Postanowiłem więc czekać jeszcze godzinę, mimo oporu sekundanta mego, który w tej powolności mojej widział naganną słabość charakteru.

Gdy się jednak po upłynieniu terminu baron Arnold nie zjawił, ostrzelaliśmy plac, i wróciliśmy do miasta. Pokazało się, że dostojny adwersarz mój opuścił Mediolan przed godziną. Dokąd pojechał? – niewiadomo.

Mimo swej ekscentrycznej i lekkomyślnej natury, Figeac nie był pozbawionym serca i pewnej trafności poglądu na życie. Zdarzało mu się nieraz być logicznym – być uczciwym i przychylnym dla mnie, nigdy nie przestawał. W ciągu późniejszych moich z nim stosunków niejednokrotnie dał mi tego dowody. Kiedym go wzywał na świadka pojedynku, nie miałem ani czasu, ani potrzeby tłumaczyć się z powodów, jakie mię do tej ostateczności nagliły. Nie wiedział tedy Figeac, jakiej wagi były te powody. Lecz, kiedym po doznanym ze strony barona zawodzie, wtajemniczył pocziwego Francuza do strasznego dramatu niedawnej przeszłości mojej – kiedym roztoczył przed nim całe pasmo cierpień moich minionych i obecnych, i nakreślił żywymi barwy serca historię mego życia i rzekomy obowiązek pomszczenia się na sprawcy mego nieszczęścia, Figeac wzniósł się duchem do wysokości mojej sprawy, przywiązał się do niej, pokochał ją jak swoją własną, więcej niż swoją własną, spoważniał nawet o ile było możebnym Gaskończykowi, i cisnąc dłoń moją w swojej, przemówił ze wzruszeniem:

– *Pauvre garçon!* – Żałuję ciebie – pojmuję – i szacuję. *Si tu as besoin d'un ami? Me voici!* – *Si tu as besoin d'un vengeur? par les tripes du diable! me voici encore!*

Figeac radził spieszyć do Wenecji z racji zbliżającego się karnawału. Mniemał, i słusznie, że byłaby to jedyna zręczność wytropić barona.

– *On fait bien des choses sous le masque:* – mówił w obronie swojej idei, przeciw której nic nie miałem do powiedzenia.

Nigdy nie byłem w Wenecji, ale tyłem czytał i słyszał o niej, że jeżeliby mi kto powiedział, iż pojęcia moje o tym wsławionym grodzie ustąpić będą musiały rzeczywistości, nie wierzyłbym temu. A przecież, stało się inaczej. Od strony Lido, którędyśmy wpłynęli do Wenecji, nic wyrównać nie może piękności ogólnego obrazu, jaki się zachwyconemu oku przedstawił. Księżyc świecący całą pełnią swej srebrzystej tarczy nadawał temu obrazowi jakiś feeryczny charakter niewypowiedzianego uroku. Błogo tam bujać fantazji po tych lazurowych toniach Adriatyku, szemrzących rozkosznie wśród pomników, pałaców i świątyń tej niegdyś królowej morza, silnej orężem, bogatej przemysłem, świetnej arcydziełami sztuki, głośniejszą po dziś sławą Sansowina, Lombarda, Koredzia, Pawła z Wenecji i Tintoretta!



Wenecja! to sen edeński! Marzenie poety! *Fata Morgana* czarodziejstwa i ułud, które, zdaje się ci, że lada podmuch uniesie i rozwieje w przestworzu, taka tam bowiem lekkość zarysów, harmonia konturów, powiewna przezroczość barw i tła ogólnego! A wszystko to nie ziemskie, lecz powietrzne – wszystko zdaje się ulatywać między niebem i morzem – źle mówię – pomiędzy niebem poziomym i niebem szczytu – pomiędzy lazurem Adriatyku i lazurem empireju.

Nigdy nie zapomnę pierwszego wrażenia jakiegom wobec Wenecji, owianej miesięcznymi blaski, doświadczył. Figeac nawet stojąc obok mnie na pokładzie, wyraził swój zachwyt tymi słowy:

– *Corne de boeuf! C'est assez gentil cela! C'est presque aussi gentil qu'un paté aux truffes de Périgord arrosé de Champagne!*

On znał doskonale Wenecję – bywał w niej często, i niejedną swoją awanturkę, realną czy zmyśloną, na scenie kanałów i lagun pomieszczał.

Zajęliśmy niewielki pokoik na *Canal grande* w pałacu Pisani, niedaleko mostu *Rialto*. Była to niegdyś świetna budowa, stylu Palladia, bogata w rzeźby mistrzów w znakomite freski, w obrazy wysokiego pędzla. Wszystko to znikło razem z możliwością jej właścicieli. Jedne tylko wspomnienia przeszłości, zostały tej samotnej, ubogiej i smutnej obecnie budowie, zamienionej w dom zajezdny.

I tą razą odmieniłem nazwisko moje. Z Niemca zostałem Włochem, *Signor'em Buonavoglio*, nauczycielem rysunku z Ferrary. Meble naszego apartamentu nie odznaczały się ani bogactwem, ani praktycznością. Dla nas dwóch było jedno tylko łóżko, sięgające wiekiem, bodaj czy nie epoki Marina Faliera, co i było zapewne powodem, że kulało na jedną nogę. Szafka, niemniej sędziwa, nie miała wewnątrz ani półek, ani kruków do wieszania odzienia, co ją robiło kompletnie niezdatną do użytku. O fotelach wypłowiałych i znakomicie podartych tyle tylko powiem, że z trzech jakie tam były, można by było zrobić jeden arcywygodny. Za to stolik z hebanu, sferycznej formy, zachował jeszcze gdzieśgdzie mistrzowskie inkrustacje z brązu, marmuru, słoniowej kości i perłowej macicy, wyobrażające śmiałe i zręczne rzuty arabesków, które się rozwijały lekko dokoła herbowej tarczy, pozbawionej niestety swego herbowego godła! Gdyby nie ta okoliczność, łatwo byłoby odbudować z tych szczątków nie tylko całą przeszłość tego stolika, lecz nawet i dziejową znakomitość jego właściciela, może którego z Pisanich, Mocenigów, Grimanych, lub Dandolów.

Pozbawiony w najwyższym stopniu poetycznego pierwiastka, Figeac, zamiast oddać się kontemplacji i marzeniu, wolał stokroć prozaiczną biesiadę z Morfeuszem, i nią był właśnie zajęty, kiedym wyszedł na balkon napić się świeżością powiewów i podumać trochę pod zasłoną mroków przezroczych.

Przeciągłym westchnieniem dyszało morze z daleka, kołysząc się na złocistym odbiciu gwiazd empireju, jakby na cudownej kotarze utkanej z promieni.

Od kanału *della Giudecca* i od *Riva di Schiavoni*, słychać było śpiew majtków odległy, który tchnienie Adriatyku, *aura del' mare*, niosło dalej i dalej, aż do ostatnich krańców nieboskłonu.

Czasami sunęła się leniwo gondola jakaś senna wzdłuż wielkiego kanału, roniąc za sobą półgłosną nutę Barkarolli.

To znowu dwie gondole płynęły pospołu obok siebie, lekko pluskając wiosłem i jednocząc się rozkosznie w natchnionej strofie Tassa, wibrującej zgodnie z męskiej i dziewiczej piersi.

To była żegluga miłości – zrazu rozkoszna i błoga, czy nie miała się zakończyć burzą?

Cóż to? – Gdzieś niedaleko brzęczą *arpeggia* gitary, i głos męski śpiewa:

*Ah! senza amare,  
Andar sull' mare,  
Col sposo del mare,  
Non puo consolare!*

To serenada pod balkonem – hołd jakiegoś Almawiwy, lub Don Żuana, wdziękom, a może... i posagowi...

W nocy nawet serce Wenecji biło żywo. We śnie nawet wionęła z niej miłość, wyrażająca się brzmieniem gitary, dźwiękiem mandoliny, milczeniem zachwytu, pocałunkiem, lub pieśnią. Jeden ja kochać nie mogłem, bo gad zemsty zamieszkał w łonie moim. Jeden ja byłem samotny i smutny, i jakby duch potępiony wkroczyć nie śmiałem do jasnego edenu wesołości i spokoju – zemsta wzbraniała mi wejścia na zawsze!

Pocziwy Figeac obeznany, jakim już tobie powiedział, z Wenecją, szperał gorliwie przez dni kilka po wszystkich znaczniejszych hotelach i

zajezdnych domach, w zamiarze wyszukania barona Arnolda. Wychodził wcześniej, powracał późno, a rezultatem trudu jego było zero. Nie tracił przecież animuszu – śmiał się, dowcipkował swoim zwyczajem, zawodził jakieś trele gardłowe i kuranty, wyobrażając sobie, że rytmował śpiewkę, lub wykonywał arię.

– *Corne de boeuf!* – wykrzykiwał w rodzaju muzycznego *intermedium* – *je le dépisterai ce malencontreux baron! – J'empoignerais ce maudit hibou tudesque, fut-il sous terre!*

I znowu biegł do miasta, wietrząc i szperając tam nawet, gdzie się znaleźć barona nie spodziewał.

Zdarzyło się tak, że dnia pewnego wrócił wcześniej niż zwykle, i był zadyszany.

– *Allons mon garçon!* – rzekł wesoło – *Suis moi!* – *Je flaire le gibier!*

Wyszliśmy z domu i siedliśmy do gondoli.

– *Dogana di mare!* – zawołał Figeac do gondoliera.

– *Bene Signor!* – odpowiedział młody i krzepki Wenecjanin, uderzając wiosłem o wodę.

Za mostem *Rialto*, gondola zaczęła opisywać łuk głęboki, zgodnie z kierunkiem wielkiego kanału, co się w tym miejscu kręto wyginał – potem wpłynęła na toń szeroką kanału św. Marka, i zatrzymała się w punkcie przez Figeac'a nazwanym. Zaleciwszy gondolierowi, żeby nie odpływał bez nas, puściliśmy się brzegiem północnym kanału *della Giudecca*.

Figeac milczał, tylko coś sobie mruczał pod nosem. Szedł krokiem spiesznym, jakby go pewność rezultatu naprzód pędziła.

Wieczór ćmił się już grubymi mroki, bo księżyc swej lampy jeszcze nie zapalił – a do tego i chmurek wędrownych nagromadziło się wiele.

Ledwie zdążyć mogłem za moim skwapliwym przewodnikiem, bo ścieżka brzegowa nie była gładką i kamienie jakieś na niej kupami leżały, snadź na materiał budowniczy przygotowane.

Na zakręcie wąskiej uliczki, czyli raczej przesmyka, Figeac wstrzymał się nagle, wziął moją rękę i rzekł, wskazując na małeńki domek, o kroków dwadzieścia najwięcej od nas stojący:

– Dowiedziałem się, że tu bywa często jakiś niemłody jegomość, co przyjechał niedawno z Mediolanu, i ukrywa się pod obcym nazwiskiem. – *Qu'en dis-tu mon garçon?*

– Któż ci to powiedział?

– *C'est mon secret. – Corne de boeuf!* – odpowiedział z komicznym naciskiem. – *Nous sarons faire jaser le beau sèxe des antichambres.* – Rozumiesz? *hein?*

Potem dodał:

– Milcz – patrzaj – i słuchaj.

Wnętrze domku było oświetlone – okienko otwarte.

Przy okienku siedziała dziewczica i nuciła *mezza voce*, znajomą skargę gondoliera:

*Nessun maggior dolore.... etc.*

Potem podniosła swoją wokalną skalę, jakby nagłym natchnieniem ożywiona, i pełną piersią najcudowniejszego *contr'alto*, zaśpiewała ową sławną modlitwę Desdemony:

*Deh calma o! ciel!... etc.*

Od kiedy żyłem, nigdy nie słyszałem takiego głosu i nie widziałem równie powabnej postaci! Śpiew jej owiewał duszę żywotnym ciepłem niewypowiedzianej błogości, przenikał ją na wylot, jak promień nadziei, płynący z ukochanej źrenicy – to trwożył ją, to uspakajał na przemian – to znowu rozrzewniał, porywał i unosił w edeńskie światy upojenia i rozkoszy. Był to śpiew nie sztuki, nie metodycznej manieri tej lub owej szkoły, ale śpiew natury, uczucia i samorzutnego natchnienia, wylęgłego z duszy, co nim zstąpiła na ziemię, przysłuchiwała się seraficznymi chórmi nieba!

Nie wiem, ile bym czasu zostawał pod wpływem wrażeń doznawanych, gdyby mię Figeac swoją prozaicznością dotkliwie nie obudził.

– *Corbleu!* – szepnął mi na ucho – *ne dirait-on pas qu'elle a une sérinette dans son gésier?*

– Czy nie wiesz, kto ta dziewczyna? – zapytałem go.

– *Ta - ta - ta – comme tu y vas.* – Wiem, wiem, kto ona. *C'est une fille d'Eve, créée pour le malheur du genre humain.* – Ale uważam, że ci się ta definicja moja nie podoba. Pojmuję – pojmuję – wszak i ja byłem kiedyś młodym! – *Sois tranquille mon garçon!* – Wiem, wiem kto ona, to jest wiem tyle o niej, ile mi powiedziano. Nazywa się *Graziella*, i zostaje pod opieką poczciwej i poważnej matrony, z którą mieszka w tym domku.

– *Graziella!* – Co za dźwięczne i harmonijne imię! – pomyślałem.

W tej chwili okienko się zamknęło – firanka opadła – czarowne widzenie znikło jak sen przelotny – i serce moje uderzyło boleśnie!

Kiedy wsiedliśmy do naszej gondoli, rzekł Figeac do mnie:

– Twoją rzeczą teraz, *mon garçon*, mieć oko na ten domek. Kto wie, może w tym jegomościu, co tam bywa, poznasz swego barona. – *Corne de boeuf! cela serait vraiment une bonne fortune!* Nie miałbyś potrzeby nadstawiać łba w pojedynku z człowiekiem niegodnym honorowej rozprawy. Dość byłoby tobie potrząść sakiewką tak, żeby w niej cekiny zadzwoniły, a wszystkie sztylety tutejszych bram, obnażyłyby się na to hasło, by przebić pierś, którą byś im ukazał. – *C'est ainsi que Venise arrange ses petites affaires.* Co kraj, to obyczaj.

– Taki obyczaj – przerwałem – nie pozyska nigdy mojego uznania. Nie mówmy o tym.

Było późno, kiedy wróciliśmy do siebie. Figeac, nagadawszy się do woli, zasnął wkrótce. Co do mnie, usiadłem na balkonie i zadumałem się. Zdarzenie tego wieczora nie wychodziło z myśli. Niepokoiłem się wielce stanem serca mego. Truchlałem z obawy, żeby się doń nie zakradło uczucie od innych uczuć potężniejsze, a więc mogące osłabić dążność moją na drodze zaprzysiężonej zemsty. Im więcej badałem siebie, tym straszliwiej mi się robiło. Chaotycznie wirowały we mnie wrażenia jakby usiłując odzyskać równowagę, z której stracone były. Zdawało mi się, że coś wre w moim sercu, miesza się i fermentuje, jakby się miał skryształizować w nim nowy jakiś żywioł mający być głównym bodźcem moralnego przekształcenia mego. Było to niestety! nic innego, jak objawienie się nowej fazy przeznaczeń moich. Dusza wkraczała w zaczarowane kręgi nieznanych jej dotąd pociągów. Jakby kwiat łaknący

promienia i rosy, otwierała się ona i rozkwitała, pijąc rozkoszne balsamy, które się z zaklętej czary miłości do ust jej sączyły. Czulem, żem przestawał być sobą samym – żem zrywał ostatecznie z przeszłością, i jak ów bajeczny Ikar w zuchwałę wzbijał się poloty, straszliwym grożące upadkiem. Postanowiłem więc zwrócić gwałtownie życie moje na dawne tory – walczyć dzielnie z urokiem co zaczynał stępieć siły moje i wolę swobodną krępować – wyrzec się snów i mamideł, a namiętność gotową wybuchnąć skruszyć, dopóki w zarodku.

Działając zgodnie z postanowieniem, w którym widziałem ratunek mój, oraz rękojmię jedyną spokoju, uprosiłem poczciwego Figeac'a, żeby się sam zajął obserwacją domku, a mnie od niej uwolnił. Opisałem mu jak najwierniej całą powierzchowność barona Arnolda; wzrost, rysy, oczy, kolor włosów, głos nawet jego.

– *Corne de boeuf!* – zawołał Figeac wesoło – *je le reconnaitrais entre mille!* – i dał mi słowo, użyć wszelkich sprężyn, jakimi mógł rozporządzać, dla jak najprędzszego osiągnięcia celu posłannictwa swego.

Co do mnie, nastroiłem życie moje na ton zupełnie inny. Unikałem samotności, żeby nie myśleć o Grazielli. Nie zbliżałem się nigdy do wybrzeża, na którym stał jej domek, żeby jej nie ujrzeć, i znowu się jej śpiewem nie zachwycić. Trudziłem umysł czytaniem dzieł poważnych, chłodnej, nieuczuciowej treści. Trudziłem ciało nieustannym ruchem, zwiedzając miejsca historycznie ciekawe, artystycznie świetne. Nie wychodziłem prawie z gondoli.

Nadszedł na koniec ów sławny wenecjański karnawał, tyle razy piórem, pędzlem i muzykalnymi utwory potomności przekazany. Karnawał, który był celem jedynym całorocznych zabiegów i oczekiwań Weneccjanina; nagrodą jego trudów i koroną życzeń najgorętszych. Gondole przybrały swoje świąteczne ozdoby. Na balkonach pałaców zawisły bogate kobierce i makaty. Wszystkie znaczniejsze szczyty grodu, to jest rostralne słupy, wieże zamków i świątyń, ubarwiły się różnokolorowymi bandery, powiewnie migającymi w eterze. Ruchem podwojonym potoczyło się życie w Wenecji, i pulsa jej skwapliwiej uderzyła. Gorączkowo wirowała ludność na placu świętego Marka, gwarząc i tłocząc się niesforne. Ożyły maurytańskie galerie gmachu biblioteki. Portyki i marmurowe schody pałacu Dożów i prokuratorie, zwykle samotne i milczące, zaludniły się zgają dziwacznie przebraną, w maskach dziwaczniejszych jeszcze, spod których pośród rozgłośnych okrzyków, śmiechów i płaskich plebejskich *Concetti*, wichrzyła się cała toniczna skala Sabatu Łysej Góry.

Gdy mrok wieczorny zaczął opadać i gęstnieć, plac Marka oświecił się *á giorno* tysiącami lamp różnokolorowych. Lew Wenecji błysnął ze szczytu swej kolumny jaskrawą aureolą promieni; i mauro-bizantyńskie perystyle, łuki i kopuły kościoła św. Marka, przywdziały także z okazji karnawału, swoje ogniste, tęczobarwne szaty. Niebo i morze zdawały się podzielać ochoczo święto grodu Dandolów i Foskarych. Z góry i z dołu sypały się nań blaski i barwy. Adriatyk witał szmerem fal swoich oklaski, wołania, śpiewy ludu, któremu udzielił był niegdyś tyle bogactwa, potęgi i sławy. Słowem, był to obraz nie do opisanego! obraz pełny światła i cieni, barw i życia, wrzawy i tajemniczości! istna fantasmagoria podobna do tej, jaką w umyśle opium, lub haszysz wywołują.

Jakież pióro zdoła zawrzeć w ciasnym okresie tyle szczegółów odmiennego charakteru, tyle dziwacznych przejawów lokalnego humoru, dysonansów tej wielkiej symfonii ludowej, tyle scen odrębnych tej olbrzymiej komedii!

*Paskin, Poliszynel i Arlekin*, byli osiłą, około której krążyły wszystkie ruchy ogółu, wszystkie zjawiska tej oryginalnej fety *al fresco*. Były tam i dowcipne aluzje, i żywe epigramy, i sarkazm rozmaitej natury, trafny i ostry. Dwie maski stanęły pośród grona widzów – maleńka, garbata, obrzydliwa staruszka i młody trzpiot w stroju poliszynela, z ogromnym krogulczym nosem, pod którym strzępiły się, jakby miotły jakie, konopiane wąsy, od ucha do ucha. Śmiech homeryczny powitał komiczną parę – lecz śmiech ten spotęgował się nagle i doszedł do apogeum, kiedy swawolny poliszynel parodiując zachwyty i uwielbienie, wobec wdzięków swej towarzyszki, położył rękę na sercu i zawołał:

*Cieli! che aspetto nobile!*

*Che dolce maesta!*

Znowu grupa masek. W środku pijak i żarłok razem, monstrualnie opasły, zarumieniony trunkiem, z rozczochraną fryzurą, z piętnem idiotyzmu na twarzy. W ręku trzymał długą żerdź wyobrażającą pędzel, i ogromną paletę z kartonu. Szedł dumnie z głową zadartą, i powtarzał chrapliwym basem: "*Son pittor anch'io!*". Była to żywa krytyka na partaczy, chcących uchodzić za mistrzów kunsztu.

Dalej ukazywały się kolejną charakterystyczne pary, każda z atrybutami jej przynależnymi. *Lorenzo i Jessika, Bianca i Faliero, Romeo i Julia*, zalotny *Don Juan* i komiczny *Leporello*. Cały niemal *Decameron* Boccaccia ciągnął

procesjonalnie za nimi w bufońskich skokach i kontorsjach. Głos jakiś ryczał przeraźliwie, do straszliwej *Virago* wybrykującej tan jakiś demoniczny:

*Vieni un poco  
In questo loco;  
Fortunata  
Jo....ti....vo....far....*

Gdy się to działo, gondola strojna w lampy i festony z kwieciami, stanęła u brzegu. Wybiegła z niej polotnie młoda *Zingara* w malowniczym ubraniu z bogatej tkani wschodniej, z rozpuszczonymi warkoczami, do których wplecione były dukaty i cekiny. Stan jej szczupły i giętki, w gorsecik z pąsowego atłasu ciasno ujęty, lśniał kroplistą rosą kolorowych błyskotek i pryzmatycznych iskierek, jakby ją tęcza obwijała i płomień otulał. Srebrną szarfę miała przez plecy, a bębenek dzwoniący w ręku. Maseczka z czarnej tafty, wybitnie określająca klasyczny kontur twarzy, nie przeszkadzała wcale wdziękowi jej młodocianym, być ponętными dla oka i pociągającymi do serca. Słowem, była to razem Peri i Sylfida – jedna z Gracyj, kształtem – Terpsichora, lekkością.

Skoro ją zoczył pośród siebie, tłum rozstąpił się skwapliwie, wołając z zapalem: *Zingara! Zingara!* – Utajona gitara ozwała się gdzieś w tej chwili skoczną tarantelą, pod rytm której żywy, namiętny, ognisty, nóżki drobne *Zingary* zadrgały radośnie, ulotniły się powiewnie, kreśląc w powietrzu ruchy tłumaczące wymownie miłość, zachwyt i upojenie. Tłum poklaskiwał i rozlegał się w okrzykach zadowolenia i podziwu. *Zingara* uderzała w bębenek na różne łady, zgodnie z taktem tajemniczej gitary. Coraz żywiej, namiętniej, ulatywała w tańcu. Nie wiedziałem sam, czemu przypisać wzruszenie jakiego doświadczałem. Doskonałość tanecznicy nie mogła być onego jedynym powodem. Czuję w sobie coś więcej jak zachwyt – czuję zamęt i niespokojność, jakby wobec zjawiska mającego wywrzeć na mnie wpływ fatalny i złowrogi – a jednak, prąd niewypowiedzianego czaru rwał całe jestestwo moje i unosił ku niej. Z oczu jej płynęły źródła naiwnego wesela i rozkoszy – strzelały ognie magnetyczne olśniewające blaskiem swoim i przenikające gorącym zapachem. Wszystkich przykuł do miejsca urok tej tajemniczej istoty. Co do mnie, oderwać się nie mogłem od jej widoku! potrzebowiałem patrzeć na nią, zachwycić się nią, być blisko niej, żyć chwilę jej życiem, istnieć jej powabem i czarem! – Kto ona? – pytało serce – kto ona? Wtem osłabione ruchem tańca zawiązki, rozpuściły się zupełnie, i maska *Zingary* opadła.



– *Graziella!* – wykrzyknąłem zdziwiony. – *Graziella!* – powtórzył ktoś w tłumie. Zaćmiło mi się w oczach, zamąciło w sercu, a gdym przyszedł do siebie, znikło już czarowne widzenie – i gondoli nie było u brzegu!

W domu zastałem Figeac'a. Chociaż było późno, nie spał jeszcze. Przechadzał się wzdłuż i wszerz pokoju, świszcząc z niecierpliwości. Skoro mię ujrzał, zawołał:

– *Corne de boeuf! mon garçon!* czekam od godziny na ciebie. Weź pistolety, i spiesz ze mną.

– Dokąd?

– Nie pytaj – dowiesz się wkrótce.

– Może natrafiłeś na trop barona?

– *Mieux que cela, parbleu!* – natrafiłem na samego barona.

– Chodźmy! chodźmy! – rzekłem podniecony tą wiadomością. Czas skończyć tę smutną komedię! – Ale jakże ci się udało odkryć go tak prędko?

– *Plus tard! mon garçon – plus tard!* – spieszmy!

Wsunąłem do kieszeni pistolety – i wyszedłem z Figeac'iem.

Po długiej żegludze w gondoli, wylądowaliśmy na *Riva di Shiavoni*. Z dala dochodziły nas okrzyki, gwary, urwane strofy barkaroli, zbłąkane nuty jakiejś *Canzonnetty* lub *Vilanelli*. Plac świętego Marka jaśniał jeszcze całą pełnią swego blasku; ale tam, gdzieśmy się znajdowali mrok panował zupełny i nic nie przerywało cichości.

Figeac szedł naprzód, i milczał. Ja dążyłem za nim. Była to część miasta, zaniedbana, bezładna i prawie bezludna. Rowy i wertepy przecinały mało uczęszczaną ścieżkę. Gruzy obalonych murów tamowały co krok pośpiech naszej pielgrzymki. Doszliśmy na koniec do ubogiej chatki rybackiej, w której światelko płonęło.

Figeac zbliżył się do okienka – spojrzął, i rzekł do mnie po cichu:

– Jest! – Wchodźmy!

Zapukaliśmy do drzwi.

– Kto tam? – zapytał głos męski z wnętrza chatki.

– Proszę się nie obawiać – rzekł Figeac ze zwykłą swoją przytomnością. Nie jesteśmy złymi ludźmi, i zamiary co nas tu sprowadzają nie są złe.

Zaspokojony w ten sposób mieszkaniec chatki, pokręcił kluczem i drzwi stanęły otworem.

Skoro mię spostrzegł, zawołał z przerażeniem:

– Baron Emanuel!

– Tak jest! panie baronie – rzekłem doń, wyjmując pistolety z kieszeni. – Przychodzę załatwić nasz dawny rachuneczek. Uprzedzam jednak, że figel Mediolański tu się panu nie uda. Nie wyjdę stąd przed końcem orężnej rozprawy. – A więc gotuj się pan!

Baron był blady i wzruszony. Pojął że stał wobec chwili decydującej życiem jego, i że tej chwili uniknąć nie potrafi. Pojął i to, że rozbroić zemsty mojej nie było dlań rzeczą podobną. Nie szukał więc żadnych wybiegów – nie poniżył się do błagania, lecz spojrział śmiało na mnie i rzekł:

– Ponieważ wymagasz koniecznie krwi przelewu – niech się krew leje! Nie zadrzę ja przed lufą pańskiego pistoletu, bo tchórzem nigdy nie byłem.

– A Mediolan? – zawołałem.

Baron zbladł straszliwie – miał wybuchnąć, ale się powściągnął i przemówił z pozorną spokojnością:

– Była to trudna, bardzo trudna, ale konieczna ofiara dla istoty której jestem jedynym opiekunem, jedyną podporą na świecie! Gdybyś mię pan zabił w Mediolanie, ona zostałaby sierotą i żebraczką. Dzisiaj mam prawo umrzeć, bom los jej zabezpieczył! Jestem do usług pańskich.

(C. d. n.)



(Ciąg dalszy. – Część siódma)

Ta spokojność jego, pełna dostojeństwa i te słowa tłumaczące powody ucieczki jego z Mediolanu w sposób tak nieprzewidziany, nie mogły nie zmniejszyć nieco nienawiści mojej i pogardy do barona Arnolda. Źle mówię – gardzić nim jako podłym tchórzem, nie miałem już prawa. Doświadczałem nawet wewnątrz coś podobnego do litości, ba nawet do szacunku. Bo biorąc rzecz gruntownie, przyznać musiałem, że to jego wyrzeczenie się dobrej sławy, to bezprzykładne poświęcenie własnego honoru, obowiązкови serca i sumienia, były pewnym rodzajem heroizmu, zasługującym na wzgląd i uznanie.

– Mój panie! – rzekłem pod wpływem powyższych wrażeń, jeżeli słowa pańskie są prawdziwe, o czym nie wątpię – kwestia mediolańska nie może już być na porządku dziennym, będąc dostatecznie wyjaśnioną co do samego pojedynku. Lecz jest inna jeszcze z tejże daty, która oczekuje swego zadosyćczynienia. Ja skrzywdziłem pana w porywie uniesienia, którego nie potrafiłem poskromić. Masz więc pan prawo żądać ode mnie satysfakcji. Nie wątpię że to uczynisz, i gotów jestem przyjąć jego wyzwanie. Oto są pistolety! – a ten oto pan, tu obecny, dawny oficer francuski, jest moim sekundantem.

– Lecz ja nie mam sekundanta – odparł baron – i mieć go dzisiaj nie mogę. Jeżeli byś pan zechciał odłożyć pojedynek do jutra, stawię się niechybnie z moim świadkiem o naznaczonej godzinie i w naznaczonym miejscu.

– Polegam na pańskim honorze – odpowiedziałem. – Będziemy czekać jutra, o samym wschodzie słońca, na wyspie *San-Christoforo*, od strony cmentarza.

– Do jutra więc?

– Do jutra!

W stronie północno-wschodniej Adriatyku, w pobliżu Wenecji, przyparty krańcem północnym o kanał *di Murani*, leży ostrów *San-Christoforo*, główny nekropol miasta. Mnogie tam spoczęły pokolenia Wenecji – jedne skromnie, ubogo, bez śladu – drugie wspaniale, bogato, w cieniu pomników z marmuru i z brązu. Plebejom i patrycjuszom, ciemieżonym i ciemieżcom, tchną zarówno balsamy laurów, sykomorów i cyprysów – szeleszczą zefiry morza, grają fale Adrii, swoją wieczną, tajemniczą symfonię.

Było to miejsce ustronne, a jednak często odwiedzane. Gród żywych dostarczał codziennie liczny kontyngens umarłym. Codziennie ciągnęły tam żałobne gondole, śladem pogrzebowego statku, na którym Charon jakiś przewoził nieboszczyka na Elizejskie pola ostrowu *San-Christoforo*.

Nieraz artysta, filozof, poeta, zwiedzali te miejsca, by pomarzyć swobodnie, i duszę swoją na ton uroczysty nastroić. Niejedna boleść, niejedno cierpienie szukały tej samotnej, odludnej oazy, by się milczeniem pokrzepić, modlitwą opromienić, w nadziei i wierze odrodzić.

Skoro słońce zaczęło skłaniać się ku morzu, Figeac i ja wypłynęliśmy od *S. Pietro di Castello* do *San-Christoforo*.

Figeac palił cygaro i milczał. Zdawał się smutnym; i zwykłym swoim *lazzi, concetti* i blagom dawał pokój. Kiedy go o przyczynę tej odmiany humoru zapytałem – odpowiedział:

– Smutnym wcale nie jestem – *mais je me recucille* – wszak za godzinę może już żyć nie będę!...

– Nie rozumiem – rzekłem zdziwiony.

– *Corne de boeuf!* – zawołał. – Przecież nietrudno zgadnąć! – *Si tu succombes, je me brule la cervelle*. – Sam jestem na świecie – przywiązałem się do ciebie – nie wiedziałbym co z sobą robić bez ciebie. – Rozumiesz teraz?

Rzewnie odbiły się w duszy mojej te słowa pocziwego Francuza. Ścisnąłem dłoń jego i rzekłem:

– Czyliż nie żałowałbyś życia? – Wszak musisz mieć przyjaciół, krewnych, niejeden interes wiążący ciebie z światem. Nie doznałeś tych ciosów bolesnych, co kruszą serce i umysł kirem oblekają, bo nie byłbyś takim wesołym.

Figeac pokiwał głową, uśmiechnął się i powiedział:

– *Mon garçon!* nie znasz świata, nie pojmujesz ludzi. Przyjaciele, krewni, są to czcze słowa – *des mots vides de sens*. – Nie ma ich w rzeczywistości. – *Or, je n'ai ni amis, ni parents!* Miałem ja kiedyś żonę...

– Jak to? byłeś więc żonatym?

– *Oui – parbleu!* – dziwisz się? – *tout comme un autre j'ai payé ma taxe aux faiblesses de l'humanité*.

– Gdzież ona?

– Gdzie?... *elle voyage probablement dans le ventre de quelque requin peu gourmet.*

– Utonęła w morzu?

– *Oui – corne de boeuf!* – To jest nie utonęła, alem ją sam utopił...

– Być nie może! Żartujesz!

– Umarła podczas żeglugi z Porto Rico, do New Yorku. Musiałem więc pogrzebać ją w morzu. – *C'etait une bonne femme.* Mam jednak żal do niej...

– Za co?

– Z jej łaski popełniłem grzech wielki. – *Elle m'a fait bénir le diable qui l'a emportée.*

– Rad jestem, że znowu powracasz do swego wesołego usposobienia, które ci każe zapewne zapomnieć twoich samobójczych zamiarów, w razie mojej śmierci.

– Mylisz się *mon garçon!* – Co rzekłem, zrobię niechybnie, jeżeli bym ciebie utracił. Śmierć dla mnie nie straszna! Bo czymże jest ona, jeżeli nie końcem głupiej komedii, *qui m'embête en diable, et qui finira par t'embêter aussi un jour.* Taka rzeczy kolej. Jedni znajdują upodobanie czołgać się na śmiecku doczesności i brnąć w niej całym jestestwem swoim. Drudzy – a takich niewielu – radzi by otrząść się z brudów ziemskości i w czystsze przeniesć się istnienie. Dla tych ostatnich, skon jest chwilą wyzwolenia, chwilą pożądaną, a więc nie straszną. Śmiałem się całe życie z ludzi i z siebie – śmiałem się z wielu – i tak samo śmiać się będę ze śmierci, bo się jej nie boję. – *C'est ma philosophie à moi! Elle est érronée peut-être, mais je m'en contente!*

Gdy tych słów domawiał, ostrów *San-Christoforo*, zaczął się podnosić z morza ze wszystkimi pomnikami swego nekropolu. Nić rozhworu urwała się sama przez się i uroczyste milczenie owiało nas wobec tego przybytku śmierci i zniszczenia.

Kiedyśmy wyszli na brzeg, zadzwoniono na *Angelus* w kościołach Wenecji. Poważne dźwięki dzwonów rozbiegły się przelotnie po skalistej toni morza, jakby głosząc światu godzinę modlitwy i hołdu. I w tejże chwili ukazała się w dali gondola, spiesznie płynąca w kierunku *San-Christoforo*. Nie uszło dziesięciu minut, wysiadł z niej baron Arnold z mężczyzną lat średnich,

weneckiego typu twarzy, którego przedstawił nam w charakterze swego sekundanta.

Podczas, kiedy Figeac i signor Girolamo (tak się nazywał świadek barona) układali się o warunkach pojedynku, postępując za nami, my z baronem zagłębialiśmy się coraz więcej w dal ostrowu, przez nikogo nieuczęszczaną, pomiędzy zarośla i krzewy. Milczeliśmy obydwaj. Wobec chwili stanowczej, która mię czekała, duch skupiał się w sobie, i lata ubiegłe stawały szeregiem przede mną, smutkiem napiętnowane i boleścią. Na żadnym z nich nie było godła pokoju, ni wesela! Każde wyrażało cierpienie jakieś, jakąś zawiedzioną nadzieję, jakieś nieszczęście! Obłąkanie ojca, śmierć straszliwa matki, zaćmienie domowego ogniska, rozgrom całej mojej przyszłości, wyrzeczenie się uciech świata, błogości życia, samego siebie nawet, dla celów nienawiści i zemsty!... Z takimi to stygmatami objawiała się przeszłość moja, mglista, ciemna, burzliwa! – A przyszłość?... nie śmiałem nawet badać jej – i wartoż było badać? kiedy cała doczesność moja miała może nie więcej jak parę minut trwania przed sobą. A gdyby ją traf i przedłużył kosztem dni przeciwnika mego – gdyby jej dozwolił sięgnąć w dalekie lata ziemskiego bytu, to jakież byłby ów byt mój z plamą krwawą na sumieniu i wieczną żalobą na sercu? bo ta miłość moja, pierwszy raz w życiu doświadczana; miłość nagła, niespodziana, pełna porywu i uwielbienia dla Grazielli, czymże była w istocie jeżeli nie snem edeńskim nie mogącym urzeczywistnić się na jawie; jeżeli nie żywym przejawem pragnień duszy, szukającej ulgi w nadziei, ratunku w uczuciu?

Dumaniu mojemu położyło koniec przybycie nasze na plac boju, poprzedniczo obrany. Był to jar nieobszernych rozmiarów, gęsto obrośnięty bujną roślinnością ziół rozmaitych i krzewów. Samorzutnie rozproszone odłamy głazów, mało tam zostawiały swobodnego miejsca, lecz dla celu, jaki nas tam sprowadził, więcej nie było trzeba.

Figeac i Girolamo opatrzyli pozycję, odmierzyli kroki i zajęli się potem nabijaniem pistoletów.

Warunki pojedynku określono w ten sposób:

1. Bój na śmierć.
2. Lekkie rany nie wstrzymują biegu walki.

3. Ciężkie rany, przerywają pojedynek do zupełnego wyleczenia pacjenta. Później, przy każdym pierwszym spotkaniu, ma się znowu pojedynek odnowić, i tak aż do śmierci jednego z adwersarzy.

Tym sposobem sformułowane zasady boju ogłosili nam panowie sekundanci, poczym zapytali nas:

- Panowie! czy zgoda?
- Zgoda! – odpowiedziałem.
- Zgoda! – powtórzył baron Arnold.

Żaden z sekundantów nie wspomniał o pojednaniu, jak się to dzieje przed rozpoczęciem śmiertelnej orężnej rozprawy. Figeac dlatego, że znał dokładnie smutną historię mojej młodości i widział w baronie sprawcę mego nieszczęścia. Girolamo dlatego, że wiedział o zniewadze jaką wyrządziłem baronowi w Mediolanie. Nie było więc, powtarzam, i nie mogło być mowy o polubownym załatwieniu kwestii. Bój śmiertelny musiał ją rozstrzygnąć.

Twarz barona wyrażała ponurą determinację i zamęt wewnętrzny, świadczący o stanie duszy jego, przywiązanej, jak widać było, do świata, węzłem jakiegoś przeważnego interesu.

Gdy zajął swoje stanowisko i przyjął pistolet z ręki sekundanta, twarz jego blada, okryła się sinym odcieniem i zdawało się że łza gotową była trysnąć z jego źrenicy.

Co do mnie, byłem spokojny, bo żałować życia nie miałem powodu. Dwanaście tylko kroków dzieliło mnie od lufy przeciwnika. Wiedziałem że wprawnie strzelał i serdecznie mnie nienawidził, a jednak mimo pewności jaką miałem, że mnie zechce zabić i zabije, nic takiego nie doświadczałem w sobie, co by obawą nazwać można było. Przeciwnie, chociaż młody jeszcze, ale znękany cierpieniem, pragnąłem gorąco spoczynku; a że śmierć tylko jedna mogła zadosyć uczynić tej żądzy, więc pragnąłem śmierci.

Nadeszła w końcu chwila krwawej rozprawy. Sekundanci stanęli na swoich miejscach i uprzedzili nas, że na słowo *trzy*, przez nichże wymówione, powinniśmy jednocześnie wystrzelić.

Baron mówił coś szeptem do signor'a Girolamo, wręczając mu list jakiś i złoty medalion, który zdjął z szyi. Poczym rzekł do mnie:

– Jużem gotów!

Figeac i Girolamo podnieśli rękę na znak, żebyśmy brali na cel. Na umówioną komendę trzy, rozległy się dwa wystrzały, i obłok dymu owiał nas.

Nie wiem czemu przypisać, że kula barona chybiła mety? Czy pistolet nie dopisał? czy ręka zadrżała? Czy na koniec nie zechciał zabić mię, by nie obarczyć zanadto sumienia swego, i tak już względem mnie występnego?

Co do mnie, chybiłem, bom nigdy do człowieka nie mierzył, nigdy krwi ludzkiej nie przelał. Pojmowałem zabójstwo w chwili uniesienia, kiedy natura wychodzi z karbu, wkracza w usposobienie anormalne, gorączkowe i staje się piorunem, ale nie pojmowałem, żeby można było zachować krew zimną, godząc na życie bliźniego rozważnie, metodycznie, i to nie wnet po doznanej krzywdzie honoru, ale po przejściu miesięcy wielu, albo lat wielu, kiedy gniew i pragnienie zemsty miały już czas ochłonać i ulotnić się. Nic zatem dziwnego, że mię w samym momencie strzału ręka zawiodła.

Przez dym unoszący się w górę, ujrzałem barona. Stał nietknięty na miejscu swoim i podawał pistolet do nabijania.

Przyjmując pistolet ode mnie Figeac, rzekł półgłosem:

– *Corne de boeuf! – Tous les deux, vous tirez comme des écoliers! –* Popraw się, *mon garçon!* Pomyśl o twojej biednej matce, i pal bez litości! – *Il le faut!*

Na hasło sekundantów znowu wzięliśmy na cel – znowu zagrzmiały dwa wystrzały – i znowu skryliśmy się w gęstym obłoków dymie. Lecz w tejże chwili usłyszałem jęk, na który Girolamo bolesnym krzykiem odpowiedział. Figeac i ja skoczyliśmy naprzód i zobaczyliśmy barona rozpostartego na ziemi, w ostatnim spazmie konania. Dłoń tulił do serca, a spod niej buchała krew pienista i czarna.

Wkrótce żyć przestał.

Ponieśliśmy martwe ciało do gondoli. Płacząc rzewnie Girolamo, usiadł przy nim i odpłynął do Wenecji.

– *La vengeance est consommée!* – rzekł do mnie Figeac uroczyście. – Wracajmy do domu. Stało się co się stać miało. Bóg osądził i wydał wyrok stosowny. Jego powołał do odpowiedzialności, a ciebie oszczędził. On umarł – ty żyjesz i żyć powinieneś. *A chacun son lot!*



Ze swego stanowiska Figeac rezonował trafnie. Według niego, baron zginął, bo na to zasłużył. Zginął z mojej ręki, bo nieszczęść moich stał się powodem. Sam ściągnął śmierć na siebie, bo gdyby się nie był dopuścił zbrodni, nie poniósłby kary. Każdy przyzna, że w tym rezonowaniu poczciwego Francuza nic brakło trafnych dedukcji, ściśle logicznych, matematycznie wiernych. A jednak nie starczyły one dla uspokojenia sumienia mojego! Zemsta nie była ani w mojej naturze, ani w moich zasadach. Od najranniejszych dni moich dziecinnych brzmiały nieustannie w duszy mojej słowa matki o pobłażaniu, pokorze i miłości. Świętymi słowy Boga-człowieka łagodziła ona i uszlachetniała jestestwo moje, ścierała spadkowe piętna ułomności i przywary, uczyła być chrześcijaninem i człowiekiem, a rodowe przywileje i bogactwa mieć za rzeczy podrzędne, marne, nic nie znaczące wobec sumienia i Boga. Jeżeli tedy, wbrew tym zasadom poprzysiągłem zemstę nad baronem, było to w chwili takiego zamętu i takiej burzy serca, w jakich względy żadne i pryncypia głosu mieć, ani swej władzy wywierać nie mogą.

Przysięgę tę uroczyście, przed wizerunkiem męki Zbawiciela dopełnioną, uważałem za obowiązującą, chociaż sprzeciwiało się to zasadom chrześcijańskim. Przysięgi tej dopełniłem, ale gorzko opłakiwałem sercem to zadość jej uczynienie. Zabiłem człowieka, który stał już może na drodze pokuty i poprawy, którego śmierć cios może srogi komuś zadała, czyjś byt zachwiała, czyjaś pomyślność zaćmiła! I ta ofiara, którą synowskiej poświęciłem zemście, czy nie zasmuciła czasem duszy matki mojej, co miłością i pobłażaniem istniała na ziemi, nim się wiekuistą miłością opromieniła w niebie? Łzy nie pozbawiły mię na zawsze jej opieki i błogosławieństwa, których, krwią bliźniego splamiony, stałem się dotąd niegodnym?

Myśli podobne przebiegały umysł mój, jako straszliwe meteory spustoszenia i rozgromu! Mąciły pogodę ducha i truły życie moje! Dnie mijały i tygodnie, a smutek mój nie zmieniał barwy – nie przestawał być czarnym i ponurym. Sen opuścił mię. Wszystko, w czym znajdowałem upodobanie, straciło dla mnie powab i siłę pociągu. Figeac żywo zaniepokojony stanem moim (bo się do mnie serdecznie przywiązał) nie zaniedbywał niczego, co by mogło złagodzić we mnie bolesne wrażenie pojedynku. To mię rozrywał czytaniem humorystycznych powieści, to sam tworzył zabawne narracje o przygodach swoich na lądzie i morzu, pod niebem pięciu części świata; to śpiewał z komiczną intonacją naiwne strofy ludowej muzy Prowansji i Gaskonii, z przyprawą lokalnego akcentu i gestu.

Bywało, wyciągnie mię z domu, posadzi do gondoli i wozi po kanałach, unikając wszakże starannie takich miejsc, z których można było widzieć ostrów *San-Christoforo*, krwią barona Arnolda niedawno zbroczony i gdzie zwłoki jego spoczęły. Te przejażdżki nasze trwały zwykle do późna. Ruch łagodny statku, uspokajał mię. Świeże powiewy morza studziły skroń rozognioną i pałające łono. Cichość uroczysta wieczornej chwili, przerywana kiedy niekiedy dalekim śpiewem rybaka lub gondoliera, koła serdecznej rany ból dotkliwy.

Pewnego dnia spacer nasz sięgnął dalej niż zwykle. Głęboki wieczór owionął już Wenecję, kiedyśmy kanałem *della Giudecca* do niej powracali. Cicho było i jasno, bo księżyc pełnią świecił i gwiazd mrugało bez liku. Gondolier nasz, Fidelio, zawodził jakąś ludową kantatę o *Lagunach* Wenecji, pełną zaklęć, czarów i demonicznych zjawisk. Treść onej, wzięta nawet alegorycznie, była niedorzeczną, ale nuta, wielce mi się podobała, bo tęskną była i rzewną.

– Kto nauczył ciebie tej piosnki? – zapytałem Fidelia.

– Piękna i dobra *Signorina* – odpowiedział. Mieszka stąd niedaleko i zowie się Graziella Frangigani.

– Graziella! – zawołałem wzruszony do głębi. – Tak – tak – ona stąd blisko rzeczywiście, za tym ot murem – w zakręcie ciasnego przesmyku. Słyszałem jak śpiewała – widziałem jak tańczyła...

– *Si Signor!* – przerwał Fidelio z uniesieniem – śpiewa jak anioł! tańczy jak zefir morza! – Wozilem ją nieraz, to do kościołów, to na ostrowy, to na *vegatty* świąteczne. Z nią była zawsze poważna staruszka, matka może, a także jakiś poważny *Signor*, opiekun, czy ojciec. – Tak, tak – musiał być rzeczywiście jej ojcem, bo kiedy doń mówiła, to nazywała go zawsze *Caro padre mio!*

Graziella nie przestawała nigdy być przedmiotem dum i uczuć moich; ale dumy te i uczucia zostające pod naciskiem wrażeń, śmiercią barona Arnolda wywołanych, nie miały dość siły, żeby się rozwinąć swobodnie i znaglic mię do gwałtownego otrząśnienia się z atonii ducha i ciała, w której od daty nieszczęsnego pojedynku mego zostawałem. Myśl o Grazielli i miłość moja dla niej, były to klejnoty serca mego, troskliwie w skarbnicy uczuć przechowywane, których istnienie było tajemnicą przed nią i przed ludźmi. Sam tylko pielęgnowałem je, czuwałem nad nimi, cieszyłem się nimi, jak sknera złotem swoim, krzepiłem siebie oglądaniem ich, posiadaniem bezpodzielnym i tajemnym.

Pośród nocy bezsennych, w malignie rozpaczliwej, nieraz przywoływałem jawną postać Grazielli – i ona stawała przede mną w całej pełni uroku swojego, lekka jak córa eteru, melodyjna jak Seraf chórów niebieskich, uśmiechająca się jak nadzieja, promienna jak miłość. Przed jej obliczem nikły czarne widziadła gorączkowej wyobraźni mojej, wolniały gwałtowne ruchy serca, skroń pałająca stygła cudowną świeżością oblana, i błogi letarg spływał w zmysły pokojem i rozkoszą. O urzeczywistnieniu tej nie pomyślałem nigdy. Czar złudzenia starczył pragnieniom duszy mojej, dla której posiadanie Grazielli na jawie zdawało się być szczęściem niedościgłym, istniejącym gdzieś daleko poza obrębem podobieństwa, na krańcu ostatnim edenów ułudy. A jednak, kiedy Fidelio nazwisko jej wymówił, jej piosnkę rzewną zaśpiewał, kiedy mi napomniał niebacznie, że byliśmy blisko, bardzo blisko od jej mieszkania, zaszła nagła odmiana w usposobieniu moim. Żywo, gorąco uderzyło serce nieposkromioną żądzą ujrzenia, jeżeli nie jej samej, to przynajmniej domku co ją zawierał, z którego po raz pierwszy zajaśniało mi jej oblicze, zabrzmiał głos melodyjny, co przebudził, zachwycił, opromienił całe jestestwo moje.

– Fidelio! – rzekłem gorączkowo – przybij do brzegu – i zatrzymaj się.

Figeac niemy dotąd i zamyślony, zawołał wesoło: – *Corne de boeuf!* co to, to mi się podoba! *Tu commences à devenir autre chose qu'une poule mouillée!* – *C'est de bonne augure, morbleu!* – *Merci, mon garçon!*

– Za cóż dziękujesz?

– *Parbleu!* alboż nie mam za co? – Widzę że powracasz do życia, że się czymś interesować zaczynasz. Jest to krok wielki – *et Dieu aidant, ce n'est pas le dernier!*

Wyszedszy z gondoli, Figeac i ja, zwróciliśmy do ciasnego przesmyku, na zakręcie którego stał domek Grazielli. Okienko było zamknięte, firanka była spuszczone. Mdłe światelko mrugało tęskno w komnacie. Głucho i martwo było wewnątrz – żadnego ruchu! żadnego odgłosu! żadnego przejawu czuwania i życia!

Zbliżyłem się do okienka. Natężyłem słuch i oko, lecz słuch i oko nie wybadać nie mogły. Nie była to jeszcze pora snu, więc nie spała. Jeżeli wyszła z domu? na cóż to światło? Jeżeli nie wyszła? czemuż w jej mieszkaniu martwość taka i takie milczenie? Sam nie wiedziałem na jakim się wniosku zatrzymać. Figeac błąkał się także w domysłach. Słów nie znalazłem odpowiednich

smutkowi, jakiego doznałem w tej chwili. Jakby martwy posąg, stałem bez ruchu i mowy, przykuty całym jestestwem moim do stanowiska, na które mię miłość powołała niebacznie.

– *Du courage, morbleu!* – rzekł mi na ucho Figeac. – *Tu rédeviens de nouveau une poule mouillée!* Miej otuchę, bądź dobrej myśli – a jeżeliś pokochał tę czarownicę Graziellę (co już od dawna odgadłem) to trwaj w uczuciu, bo tego warta, i dąż mężnie do celu! Spuszczaj nosa na kwintę i być babą, tobie nie do twarzy. *Corne de boeuf! Quand j'étais jeune, moi, je n'y allais pas de main morte – allez!* Teraz nie przeszkadzaj mnie. – *J'ai mon idée!*

Rzekł, i zapukał ostrożnie do drzwi. Nikt zrazu nie odpowiedział na hasło, lecz kiedy Figeac powtórzył dobitnie swoje pukanie, ktoś pokręcił kluczem ze środka i drzwi do połowy uchylił. Była to młoda Wenecjanka, w stroju plebejskim, kształtem szykowna, z oczyma pełnymi blasku i determinacji. Chociaż ujrzała dwóch nieznanym przed sobą, i w porze niewłaściwej do widzenia, żadnej nie okazała obawy, a zapytała spokojnie, z weneckim akcentem:

– *Che volete?*

Figeac, który jak się pokazało, miał rzeczywiście *son idée à lui*, powziętą *a priori*, odpowiedział bez wahania się:

– *Signorine!* – Jesteśmy podróżni. Szukamy gospody – *una piccola casina* – czy tu nie ma do najęcia?

– *Santa Maria!* – rzekła z gestem podziwu młoda Wenecjanka. – Gdzież u nas może być *una casina* do najęcia! Domek niewielki – dwa tylko pokoiki. W jednym mieszka sama gospodyni, *Signora Ottavia*, a w drugim leży chora moja dobra *Signorina Graziella Frangigani*.

– Chora!?! – zawołałem do głębi wzruszony.

– *Si Signor* – odpowiedziała smutnie. – Od kilku już tygodni cierpi biedna!

Figeac na to:

– Może nas tu Pan Bóg sprowadził. Jestem lekarzem, a ten oto młody człowiek, moim pomocnikiem. Niemało chorych winni nam swoje wyzdrowienie. Pomagamy cierpiącym z obowiązku chrześcijańskiego, nie zaś z

widoków interesu. Ani ja, ani mój kolega zapłaty nie przyjmujemy. Jeżeliby tedy *Signora Ottavia*, o której mówiłaś, że jest gospodynią domu, raczyła powołać nas do chorej, może byśmy jej ulgę przynieśli.

– *Aspettate! aspettate!* – rzekła spiesznie i radośnie – poczym wbiegła skwapliwie do środka mieszkania.

Co do mnie, podziwiałem przytomność umysłu Figeac'a i błogosławiłem jemu w duszy. Rola, jaką na siebie przyjmował, w razie jeżeliby nas powołano do chorej, nie trwożyła mię bynajmniej. Byłem pewny, że się potrafi znaleźć zręcznie, i nie zdradzi swej nieznamomości lekarskiej sztuki. Wreszcie, nie miałem pewności, że jej nie znał. Wszak żył długo i szeroko; widział i doświadczył wiele. Mógł się wzbogacić sekretem jakimś leczebnym, jakimś specyfikiem zbawiennym, który potrafiłby zastosować skutecznie do stanu pacjentki i uzdrowić ją.

Kiedym tak rezonował, dziewczyna wróciła pospiesznie, powołała nas z sobą, i drzwi na klucz zamknęła.

Weszliśmy...

Nie potrafię zdać sobie sprawy z tego, czegom w tej chwili doświadczał. Radość, obawa, smutek, zachwyty, nadzieja, błogość jakaś nieopisana, przemykały po duszy mojej drgającej, jak strona eolskiej arfy, pod naciskiem wrażeń, co jakby powiewy przelotne trącały o nią kolejno. Czułem się niewypowiedzianie szczęśliwym, wstępując do mieszkania *Grazielli* – a jednak wiele było jadu w tym poczuciu szczęścia! Wiele kolców bolesnych w tym kwiecistym wieńcu ułudy i rozkoszy!

(C. d. n.)



(Ciąg dalszy. – Część ósma)

Poważna matrona w stroju żalobnym przyjęła nas u progu swego pokoiku. Była to *Signora Ottavia*, gospodyni domu, opiekunka *Grazielli*. Rysy jej piękne jeszcze, odbłyskiem wdzięków młodości wyrażały szczerłość i życzliwość. Układ odznaczał się prostotą i dostojeństwem. Smutek owiewał ją całą, jakby mgłą cieni.

– Mam chorą w domu – rzekła do *Figeac'a* – której stan wielce mię niepokoi. Lekarze tutejsi nie zalecają się biegłością, a do tego są za drodzy. Dopomóc chorej nie potrafili, a skoro postrzegli, że nam cekinów zabrakło, odeszli i nie wrócili więcej. – *Francesca* powiedziała mi, żeście ludzie dobrzy, nie interesowni i w sztuce lekarskiej biegli. Dopomóżcież biednej mojej *Grazielli*, a Bóg wam za to pobłogosławi!

Wierny swej przybranej roli, może być, nawet realnie natchniony uroczystością chwili, *Figeac* słuchał uważnie; twarz ubrał w powagę nieznaną jemu od urodzenia; wdział na czoło wyraz głębokomyślniej rozważki – i dopełniwszy tym sposobem kompletnej metamorfozy swojego *in d y w i d u m*, zapytał:

– Czy *Signora* nie mogłaby mi powiedzieć, jaki był początek, jaka była przyczyna choroby? Jest to dla lekarza szczegół nader ważny. Choroby występują zwykle z piętnem swoich przyczyn, do których sztuka regulować się powinna. Są tacy pacjenci, których organizm fizyczny został strącony z toru potęgą moralnego ciosu, którzy byliby zdrowi zupełnie, gdyby odzyskali spokojność umysłu lub serca. Racz mi zatem *Signora* powiedzieć, czyli pacjentka nie doświadczyła jakiego wielkiego zmartwienia? Pyta o to nie człowiek ciekawy, ale troskliwy i sumienny lekarz.

– Ach! panie – odpowiedziała *Signora Ottavia* z głębokim westchnieniem – wielkie ją ugodziło nieszczęście! Straciła niedawno ojca! – dobrego, troskliwego ojca! Straciła w nim przyjaciela, opiekuna, jedyną podporę w świecie! Cóż dziwnego, *Signor*, że ta strata nagła, nieprzewidziana, bolesna – strata nad straty, ledwie ją o śmierć nie przypawiła? *Graziella* jest istotą wyłączną, nie mającą równej w całej Wenecji. Ona cała duszą, cała sercem, cała natchnieniem i harmonią. Nie ma takiego wrażenia, co by w jej uczuciu nie pozostało na długo. Nic jeszcze nie zaćmiło dotąd jej spokoju. Śpiewała, bo śpiew wylewał się sam przez się z jej piersi. Tańczyła, bo jej było lekko, wesoło wśród życia. Nie było w tym ani chęci popisywania się, ani innej jakiegokolwiek

światowej pobudki. Do ruchu, do śpiewu, do wesela, nagliła ją sama natura. – A teraz – teraz *Signor!* – Nie ta już, nie ta moja biedna Graziella! Ratuj ją, jeżeli możesz! Wróc mi ją taką jaką była – a wielbić będę ciebie – u nóg się twoich czołgać!

Figeac był wzruszony, i tą razą nie pozornie ale szczerze. W tym rzewnym wyłonieniu się dostojnej matrony, było coś więcej jak prosta troskliwość, jak zwyczajne współczucie. Głosem matki, i matki gorąco kochającej, przemówiło cierpienie tej kobiety – a jakaż obojętność zdoła pozostać chłodną wobec takiego głosu? – takiego błagania?

– *Signora!* – rzekł Figeac, biorąc z tkliwym uszanowaniem jej rękę. Nie człowiek przywraca zdrowie chorem, ale Bóg. To coś powiedziała, rzuciło wielkie światło na stan moralny pacjentki. Wiem przyczynę – obaczę jakie wywarła skutki na organizm, wtedy powiem dopiero, co robić? jak robić? i czy warto robić? Prowadź nas teraz *Signora* do chorej.

Nie będę opisywał tobie co się ze mną działo. Masz serce, pojmiesz więc łatwo stan mojego serca.

Kiedyśmy stanęli na progu pokoiku Grazielli, poczułem zrazu jakby odurzenie jakieś i w oczach mi się zaćmiło. Potem doznałem uroczystego wrażenia podobnego do hołdowej trwogi obejmującej duszę przy wejściu do świątyni.

Co było w pokoiku Grazielli i jak było? nie wiem, bo oprócz niej, cóż widzieć mogłem? Nie leżała w łóżku, jakem się spodziewał, lecz siedziała na małej sofce oparta o poduszkę. Lica jej blade, marmurowo białe, wyrażały nie słabość, nie cierpienie, ale jakąś dziwną rezygnację, jakieś, że tak powiem, uporczywe trwanie w przedsięwzięciu w głębi ducha wylęglym, a którego cechą było nic innego jak rozpacz.

Przerażony byłem tym wyrazem jej twarzy. Przerażony byłem tym bardziej, że się innych zupełnie symptomów choroby spodziewał. Na głos tkliwy jej opiekunki, podniosła głowę, i uśmiech, ledwie widoczny, przemknął po jej bezbarwnych ustach. Gdy Figeac wziął jej rękę dla wybadania pulsu, spojrzała nań z bolesną ironią. Gdy ją zapytał o rodzaj cierpienia jakich doświadczała, i gdzie się najdotkliwiej czuć dawały, położyła dłoń najprzód na sercu, potem na czole i nic nie odpowiedziała. Lecz w oku jej czarnym zbiegły się wszystkie władze życia, wszystkie promieniste cechy uczucia i pojęcia.

Spojrzenie jej miało tyle wyrazu, tyle rzewnej treści i znaczenia, że żadnego komentarza nie potrzebowało.

Nie była to więc atonia ciała, nie było omdlenie ducha. Przeciwnie, fibry ciała drgały gorączkową energią – duch wzmógł się chorobliwie do wysokiej potęgi, lecz ani ciało, ani duch, nie znajdowały interesu w ruchu i działalności, nie czuły pociągu do zewnętrznego życia, jakby wyczekując chwili danej i żywotnego hasła tej chwili.

Figeac (który, jak się pokazało, więcej umiał i pojmował, i głębszą uczuciowością był obdarzony, niżelim sobie wyobrażał) nie przedłużał nad miarę swojej diagnostyki. Znalazł czego szukał. Skombinował co upatrzył. Wyprowadził wniosek stanowczy; i utwierdziwszy się na podstawie niezachwianej swojego przekonania, skinął pożegnalnie chorej; powołał nas ze sobą, a wszedłszy do pokoiku *Signory Ottavii*, rzekł:

– Racz mi *Signora* powiedzieć, czy chora płakała po śmierci ojca?

– Nie – *Signor dottore* – ani jednej łezki nie uroniła.

– Kiedy tak, to jeden tylko pozostał sposób przywrócenia jej zdrowia. – Trzeba ją doprowadzić do płaczu. Narracja, lub czytanie, gdyby treść ich nie była tkliwą, nie odpowiedzą celowi. Ale mam ja na to inny sposób, którego zastosowaniem zajmę się gorliwie. Na chorobę poetycznej duszy, jedyny środek muzyka. Czy *Signorina Graziella* śpiewa z nut? – Czy ma jakie nuty? Proszę mi dać takie, w jakich największe znajdowała upodobanie, które ją najwięcej rozrzewniały.

*Signora Ottavia* pospieszyła wręczyć nam rulon nut *Grazielli*, nazywając jej najulubieńsze motywa.

– Dzisiaj późno już – rzekł Figeac – rozpoczynać kurację. Trzeba się do niej przygotować należycie. Do jutra tedy! Przyjaciel mój i kolega tu obecny, powinien być przy chorej co wieczora, dla obserwacji symptomów, jakie podczas muzycznych eksperymentów moich będą się przejawiać. Proszę więc ułatwić jemu wstęp do pokoju pacjentki. Jest to warunek konieczny, bez którego obejść się nie można.

Fidelio czekał na nas u brzegu. Usiadłszy pod felze'm (1) gondoli obok Figeac'a, wyraziłem mu podziw mój, że się okazał takim doskonałym wykonawcą roli, tyle sprzecznej z jego żywym i nieznoszącym przymusu charakterem, a zwłaszcza że dowiódł takiej znajomości psychicznej strony organizmu człowieka.



– *Corne de boeuf!* – zawołał – od samego urodzenia mego miałem oczy i uszy (o czym nie wątpisz zapewne?) mogłem więc widzieć i słyszeć – a że nie od wczoraj żyję na świecie, wiele widziałem i słyszałem. *C'est tout simple!* Co do roli, jaką przyjąłem na siebie i odegrałem, jak powiadasz, *en maître*.... nic w tym nie ma dziwnego. To, coś brał za rolę, nie było nią. Oprócz tytułu doktora, który otworzył nam wewnątrz zakłętę mieszkanie Fei, reszta było prawdą. Żal mi się zrobiło tej biednej dziewczynki i jej matki – *car je jurerais qu'elle l'est selon la nature; si elle ne l'est pas, selon les lois humaines*. Troskliwość zatem moja i chęć żywa niesienia pomocy, nie były udaniem, lecz realnym uczuciem, do którego przyznaję się, *tout Gascon, que je suis*.

Na pytanie moje, czyli miał rzeczywiście pewność wyleczenia Grazielli, środkami jakich użyć zamierzał, odpowiedział:

– Pewność nie jest atrybutem człowieka. *L'homme n'est jamais sûr de rien*. Czy masz pewność że się dno gondoli nie rozpęknie nagle, i że nie utoniesz? Czy masz pewność że idąc po schodach twego mieszkania, nie poślizniesz się, i nie złamiesz ręki lub nogi? Czy masz pewność przeżyć noc? doczekać jutra? – Nie? Skądże mam być pewnym i ja, że dokonam szczęśliwie przedsięwzięcia, któremu sama natura może stawić opór nieprzewidziany i nieprzewyciężony? *Or, je ne suis certain de rien, mais j'espère*. Widziałem w Sewilli przykład podobnej kuracji. Młoda *manola*, ognistej, maurytańskiej natury, prześliczna twarzą i postawą (*dont, soit dit en passant, j'étais devenu amoureux, comme une bête*) wpadła była w marazm i niemą melancholię, wskutek nagłej śmierci kochanka, *torreadora* najśłynniejszego w okolicy. *La docte Faculté de Seville*, zbiegła się *in pleno* do nadobnej chorej, która przy tym była i niebiedną. Macania pulsu przemądrych konsultacji i próżnej gawędy było bez liku. Ten ordynował proszki, ów pigułki; inni radzili pijawki, synapizma, mikstury i dekokta. Nie pomagało! Stan chorej pogorszał się codziennie. Zostawało jej tylko w perspektywie umierać *secundum artem*, i być pogrzebioną *secundum ritus ecclesiae*, jak mawiał nasz poczciwy proboszcz, mój niegdyś nauczyciel katechizmu i łaciny. *Sur ces entrefaites* zjawił się w Sewilli jakiś krewniak nieboszczyka *torreadora*, który dowiedziawszy się o stanie oplakany biednej *manoli*, odwiedził ją, i nagłą myślą oświecony, porwał zawieszoną na ścianie gitarę i zaczął grać *con anima*, tę samą tarantelę, którą zwykle z kochankiem swoim tańczyła. *La docte Faculté* chciała go wypędzić, *mais le gars n'entendait pas raillerie*. Zamiast ustąpić z placu, tak się gracko zawinał, że przezacni adepci Eskulapa pogubili peruki swoje, uciekając zajęczymi susy z domu. Dopełniwszy chwalebno dzieła, wziął się znowu do

gitary, i znowu przerwana tarantelę grać rozpoczął. *Pour être bref*, tyle tylko powiem tobie, że chora, poruszona do żywego tymi tony, przypominającymi jej szczęśliwe doby nadziei i miłości, rozszlochała się gwałtownym płaczem, który trwał godzin kilka, wolniej stopniowo; a kiedy ustał zupełnie, chora wpadła w sen głęboki, spotniała obficie i wkrótce wróciła do zdrowia.

– *Tu vois mon garçon* – ciągnął dalej Figeac – że mam niektóre powody liczyć na skuteczność mojego środka. Chodzi teraz o to, żebyśmy urządzili wszystko w sposób najodpowiedniejszy celowi. Pomiędzy artystami teatru *Fenice* są piękne głosy. Znam także jedną *cantatrice* wielkiego talentu. Jeżeli nie pożałujesz pieniędzy (a wiem, że nie pożałujesz) *tout s'arrangera pour le mieux*, kurację zaczniemy od jutra.

Nazajutrz przed zachodem słońca udałem się do *Signory Ottavii*, z wiadomością, że wszystko już gotowe. Weszliśmy do pokoiku *Grazielli*. Siedziała na swojej sofce z opuszczonymi oczyma, w głębokiej zadumie pogrążona. Nie postrzegła nadejścia naszego. Okienko było otwarte od strony kanału *della Giudecca*, skąd łagodne świeżością i wonią, leciały zefiry morza, studzić skroń pałającą *Grazielli* i pieścić jej lica nadobne. O! nie te już były te lica, nie te, co przedtem! Równie piękne, urocze, więcej może czarujące nawet, ale bezbarwne, chłodne, jakby pozbawione życia, skamieniałe do uczuć i wrażeń doczesnych. Rzekłbyś, że masz przed sobą arcydzieło dłuta *Prexiteła*, z paroskiego marmuru wykute i oczekujące żywotwornej iskry *Prometeja*, żeby powstać z bezwładności letargu.

Spokojniej było mi na sercu tą razą niż przedtem. Przewidywałem pomyślny skutek kuracji, a do tego wierzyłem w potęgę uczuć i młodości. Wierzyłem, że taka miłość jak moja, nie mogła nie wywołać wzajemnej miłości! nie mogła nierozniecić takich blasków, jakimi sama jaśniała. Patrzałem więc na *Graziellę* przez pryzmę nadziei – patrzałem bez trwogi i zamętu. Przeciwnie – błogość nieopisana przenikała całe moje serce – błogość pogodna, pełna marzeń, ułudy i rozkoszy.

Słońce zaczęło zniżać się ku morzu. Zadzwoniono *Angelus* na wieżach kościołów Wenecji. Dźwięk ten uroczysty, zdawał się, według wyrażenia *Danta*, opłakiwać z daleka ostatnie chwile umierającego dnia:

..... *Si ode squilla di lontano*  
*Che paia'l giorno pianger che si muore.*

Graziella podniosła oczy, jakby ze snu zbudzona. Położyła dłoń na czole swoim. Potem spojrzała na mnie, i długo nie spuszczać żrenicy, patrzała, jakby chcąc w rysach moich znaleźć objaśnienie powodu obecności mojej w jej mieszkaniu. Gdyby mię o to zapytała, nie wiem prawdziwie co bym jej odpowiedział. Lecz ona pozostała niemą jak przedtem. Westchnęła. Opuściła oczy – i znowu się w dumaniu pogrążyła.

W miarę, jak mrok wieczora gęstniał, jaśniej się robiło na niebie. Lśniącymi rojami wbiegały gwiazdy na lazurze przestworza, kąpiąc w toniach Adrii swe złociste odbicia. Księżyc wstąpił także na szczyt empireju i toczył wzrokiem zadumanym dokoła. Górnymi blaski oświeciło się morze. Kanał *della Giudecca*, szmerzący u samego prawie okienka Grazielli, zdawał się potokiem roztopionego złota. Cudnego obrazu tego chora nie spostrzegła, obca wszystkiemu co się zewnątrz jej działo. Lecz każdą razą, kiedy zefir morza jej pukle poruszał i świeżym tchnieniem lica owiewał, widne było uczucie ulgi i zadowolenia. Wygładzało się czoło i po ustach coś na kształt uśmiechu przebiegało.

Jedno z tych tchnień drzemiącego morza przyniosło daleką melodię jakiegoś chóru, co sącząc się przez obszary, półgłośnym akordem do okienka wnikał. Był to motyw z Lucji Donizettego, tkliwy i rzewny. Dwa głosy, męski *tenor* i żeńskie *mezzo-soprano* łączyły się, zlewały cudownie, wibrując naprzemian, to uśmiech nadziei, to słodycz miłości, to znowu smutek, tęsknotę, żal głęboki po stracie tego, co sercu miłym było, duszę uszczęśliwiało. Zdawało się, że łkanie potrzasało śpiewem, że z każdej głoski biegło westchnienie, łza opadała gorąca.

Przy świetle alabastrowej lampy, którą *Signora Ottavia* za ekranem zastawiła, widną mi była cała postać Grazielli, perłowym półcieniem owiana. Na twarz jej padał z ukosa blask łagodny, nadający jej tło przezrocze, eteryczne, niezemskie.

W miarę, jak się chór tajemniczy przybliżał, czoło chorej nabierało więcej pogodnego wyrazu i martwą bierność oblicza promień uczucia przebiegał.

Wkrótce podniosła głowę opuszczoną; żywszą żrenicą spojrzała, to na mnie, to na okienko otwarte; skupiać się zaczęła w słuchu, w bacności, w zajęciu. Każdy ton śpiewu, był dla niej żywotną iskrą Prometeja. Ona wracała znowu na świat, zmartwychwstawała duchem, umysłem, ciałem – przestawała być marmurem – wracała do życia, do stanu tkliwej i poetycznej kobiety.

Radośnie uderzyło serce moje wobec tych przejawów wracającego życia Grazielli. Nadzieja wyzdrowienia jej, stawała się pewnością; a pewność ta czyliż nie była dla mnie szczęściem?

Wylawszy z siebie ostatni swój akord, rzewny i bolesny, chór tajemniczy zamilkł nagle i cicho zrobiło się na morzu. Ta przerwa melodyjnego wątku silnie podziałała na Graziellę. Nerwowym ruchem powstała z sofki i spojrzała niespokojnie na okienko, jakby pytając przestrzeni, czemu swe dźwięki zawiesiła? Z ust jej biegły półgłosne, urywane słowa, bez pozornego związku pomiędzy sobą, bo to co ich logiczną nić stanowiło, zostawało w jej wnętrzu, chaosem wrażeń pochłonięte. W źrenicy migały błyski. Oddech był głęboki i pośpieszny. Wszystko w niej zdradzało gwałtowną żądzę tonu, gorączkowe pragnienie wzruszeń, którymi zaczęła istnieć na nowo, powstawać z upadku sił duszy i ciała – rzekłbyś – tonący co się chwyta jedynej nadziei ratunku.

Nagle, radością zapłonęły lice Grazielli, żywymi połyski strzeliły oczy. Drżąc z oczekiwania i zachwytu, stanęła ona u okienka, łowiąc chciwie harmonijne *arpeggia* gitary, co preludiowały wstępnym taktom pieśni. Był to ów znany motyw z Fenelli, Modlitwa Brata; tęskna i uroczysta melodia, błagalne westchnienie duszy, pełne samorzutnej rzewności i naiwnej prostoty. Pieśń ta analogicznej natury z usposobieniem wewnętrznym Grazielli, wielkie na niej wywarła wrażenie. Całym jestestwem swoim wciągała ją w siebie, jak napój kojący pragnienie, jak świeży powiew po znoju, jak woń balsamiczną dolin i łąk kwiecistych, jak zbawienny kordiał co budzi siły i życie. Nie tą była już Graziella, jaką widziałem przed chwilą. Lekką czerwienią wzruszenia oblekły się jej alabastrowe lica. Na ustach bladych i chłodnych usiadły ciepłe barwy aurory; a łono, niespokojne dotychczas, mniej się już pośpiesznie pod równym i długim oddechem faliło.

Postrzegła mię, i spokojnie, bez obawy, jakby oswojona już z moją obecnością, przeciągnęła rękę do okienka, drugą położyła na sercu, wyrażając okiem i gestem, czego doznawała i co było tego powodem. Chciałem przemówić, lecz ona położyła palec na ustach swoich, nakazując mi milczenie. Chciałem powstać i zbliżyć się do niej, ale gest Grazielli zatrzymał mię na miejscu. Ja drżałem z uczucia, uniesienia, rozkoszy, a ona wymagała ode mnie milczenia i nieruchomości, żeby żadnego akordu nie przepuścić, żadnego dźwięku nie postradać, i dłużej istnieć, bez przeszkody, całą pełnią wrażeń, jakich w tej chwili doznawała. Ja kochałem ją, pierwszą płomienną miłością, a ona wracała dopiero do życia; otrząsała z siebie chłód i martwość co jej ducha i

ciało krępowały; z bytu posągu wkraczała do bytu kobiety. Była więc przepaść pomiędzy nami – a przecież widok mój nie wzbudził w niej ani podziwu, ani bojaźni. Uprzejmą była dla mnie, jej źrenica i wyraz oblicza nie był surowy. Nic nie wyrzekła jeszcze, ale widziałem jasno, że usta jej gotowe były przemówić dobrym słowem – że kiedyś przychylnie przemówią.

Kiedym odchodził, pożegnała mię ruchem ręki i coś na kształt przychylnego uśmiechu przemknęło po jej twarzy. Radości jakiej doświadczyłem wtedy, wyrazić nie zdołam. Figeac czekał na mnie w gondoli. Wysłuchawszy sprawozdania potarł dłonie wesoło i rzekł:

*Corne de boeuf! Cela va bien!* – Ciesz się to niesłychanie. Druga to wielka radość dla mnie. Pierwszą była, śmierć nieboszczki żony mojej – *que l'Océan lui soit léger!* A co? jak śpiewali? Głosy dobrane i prześliczne! Nieprawdaż? Jutro wystąpią z pieśnią rzewniejszą jeszcze i smutniejszą. *Je veux frapper le grand coup.* Chora już przysposobiona. Organizm szuka wrażeń. *C'est bon signe!* Dziękujmy Bogu za to czegośmy dokonali i prosimy żeby nam resztę dokonać pozwolił! – *Sans Dieu, rien n'est possible!*

Nazajutrz stawilem się u *Signory Ottavii* o tej samej godzinie. Powiedziała że *Graziella* przepędziła noc dość spokojnie; że nawet parę razy zasnęła na minut kilkanaście, czego się w ciągu jej choroby nie zdarzało. Temu to przypisywała ona nie bez racji, polepszenie stanu chorej; mniejsze zagłębianie się w sobie samej; większą potrzebę ruchu i zajęcia. Mówiła przy tym, że *Graziella* wspomniała jej z wyraźnym zadowoleniem o pięknej muzyce wczorajszej, i wielce się trapiła niepewnością, czy znowu tę muzykę usłyszy?

Kiedym wszedł do pokoiku *Grazielli*, stała u okienka, z oczyma zwróconymi na kanał *della Giudecca*. Snadź badała przestrzeń wodną, azali nie ukaże się na niej gondola jaka, żeglująca przy melodii śpiewu i dźwięku gitary.

Rzuciła wzrok roztargniony na mnie, zbliżającego się do niej, i zapytała z pewnym rodzajem niespokojności:

– *Che volete Signor?*

– *Oggi non mi vuole?* – rzekłem smutnie, robiąc ruch ku drzwiom.

– *Si, si* – przemówiła z pośpiechem, jakby chcąc zatrzeć wrażenie swojego pytania. – Zostań pan. Byłeś wczoraj u mnie. Przypominam. Jesteś doktorem? Nieprawdaż?

– Tak jest, *Signorina*.

– *Capisco!* – Czuję się nieco lepiej. Czy dawałeś mnie jakie lekarstwa?

- Żadnych.
- Skądże to polepszenie stanu mego?
- Od Boga!

Graziella skłoniła głowę wobec hołdownej myśli o Bogu, co jej oblicze w tej chwili opromieniła.

– Od Boga! – przemówiła z natchnieniem. Prawdę rzekłeś. On jeden mógł podnieść mię z upadku! On jeden, gasnące rozniecić życie! – Nikt inny! Wielkie, straszliwe, dotknęło mię nieszczęście! Zaczynam widzieć jaśniej w przeszłości. Straciłam ojca, jedynego druha i opiekuna mego! Dusza, serce i umysł, uległy ciosowi. Czarnymi kiry zamroczył się świat cały. Ziemia stała się dla mnie *la valle d'abisso dolorosso*, Danta; a nad przyszłością moją widziałam iskrzące się złowrogo rozpaczliwe słowa:

*Permè si va, nella città dolente!*  
*Permè si va, nell' eterno dolore!*

I tak było w istocie, bo krom boleści – głębokiej i wiecznej boleści – nic mię innego nie czekało w życiu. Czekałam więc tylko śmierci. Wzywałam jej – błagałam. Czułam że przyjdzie na głos duszy mojej – czułam, że już idzie...

Nie dokończyła, bo w tejże chwili ozwały się dalekie akordy chóru, co zdawał się z głębi morskiej powstawać, jakby śpiew syren Adrii, pełen melodii i czaru. Motyw był wzięty z *Elisir d'amore*, i dwa głosy wykonywały go precudnie.

Graziella usiadła przy okienku i oparłszy głowę na rękę, słuchała. Ja stałem przy niej. Całą duszą moją jednoczyłem się z jej duszą, jak się dwie fale zlewają, dwa tony łączą, dwa płomienie jednoczą! Była to chwila nad chwile! Żyłem jej życiem, cierpiałem jej cierpieniem, czułem jej czuciem i wrażeniem! I w niej musiały się odbić, skutkiem duchowego stosunku, wzruszenia jakich doświadczałem, bo żywym, wymownym spojrzeniem rzuciła na mnie, jakby głosem wewnętrznym zniewolona, i skinąwszy żebym się przybliżył, ukazała ręką w tę stronę skąd płynęły melodie chóru i powtórzyła drżącymi od wrażenia usty te szlachetne słowa pieśni:

*O! di Patria il caldo affetto!*

Od ojczyzny myśl jej przebiegła do wspomnień o ojcu. Nuta wymowna śpiewu podniosła jej uczucia do stopnia rozrzewnienia i żalu. Słowa dopełniły dzieła nuty. Graziella wykrzyknęła rozdzierającym głosem: "*mi sento morire!*" i konwulsyjnym zadrzała nagle płaczem. Łkania jej gwałtowne potrząsały piersią. Były w nich i jęki, i dławienia, i spazmatyczne porywy, i rozpaczliwe jakieś odgłosy, wyrażające straszliwą boleść, zamęt, nawałnicę serca. *Signora Ottavia*, przerażona tym stanem Grazielli, nie wiedziała co począć? jaką nieść pomoc chorej? Ja także, chociaż przygotowany do tego krytycznego przełomu choroby, niemniej byłem niespokojnym, dopóki nie ujrzałem łez Grazielli, co zastąpiły jej płacz suchy, gorączkowy i realnie grożący niebezpieczeństwem. I długo, długo trwał ten płacz zbawienny, coraz wolniej i słabnąc. Gdy się zupełnie uspokoił, senność głęboka zawładnęła Graziellą. Skłoniła głowę na poduszkę, którą pospieszyłem przynieść, i zasnęła...

Stan chorej zaczął się odtąd zmieniać ku lepszemu. Odwiedzałem ją codziennie o zwykłej wieczornej godzinie, i coraz radośniej robiło się mi na sercu, widząc bystry postęp jej wyzdrowienia. Wesołą nie była ona, lecz była przynajmniej spokojną. Zamiast zagłębiać się w siebie, jak przedtem, szukała zjawisk zewnętrznych, rozmowy poufnej, przychylnych stosunków i roztargnienia. Nierzadko łza cicha perlila się w jej źrenicy, a kiedym ją o przyczynę pytał, odpowiedziała z uśmiechem:

– To nic! Nie ja płaczę, ale dusza – tak jej widać potrzeba.

Bywał i uśmiech na jej ustach, ale rzadko zupełny i sercowy. Blask jego mglił się zawsze cieniem melancholii lub mrokiem żalobnego smutku. Kiedy śpiewała, to same rzewne i tęskne arie. Kiedy co opowiadała, to nić przedmiotu przerywało nieraz głębokie westchnienie obce treści opowiadania i świadczące wymownie o wewnętrznym jej cierpieniu. Graziella widząc mnie codziennie, nie mogła nie pojąć stanu serca mego; nie mogła nie zgłębić natury uczuć jakimi dla niej istniałem – a jednak, nie odtrącała mię od siebie, nie przestawała być dostępną, uprzejmą, pobłażającą. Zdawało mi się nawet, że przyjście moje witała weselem, a odejście żegnała smutkiem.

*Signora Ottavia*, której wzgląd przychylny pozyskałem, zostawiała nas często samych, by nie krępować obecnością swoją swobody naszej. A przecież, nie pozwoliłem sobie ani razu przemówić do Grazielli słowem wyznania, ubliżyć ukochanej istocie poufałością obejścia, lub niewczesnym porywem sercowej tkliwości. Niewinność Grazielli i godność dziewicza, miały swój majestat, swoją świętość, przed którymi korzyły się hołdownie uczucia moje,

wobec których dusza moja czystsza się stawała i wznioślejszą. Córa Italii, Graziella przyniosła z sobą na świat wrodzoną intuicję piękna, instynkt wysoki artyzmu, gorące zamiłowanie sztuki i poetyczność, samodzielnie z jej wyłącznej, nerwowej natury wypływającą.

W ocenieniu dzieł mistrzów, nie kierowała się ona żadną teorią *a priori* powziętą, żadną regułą szkoły, lub przyjętej opinii, lecz wewnętrznym uznaniem, uchwałą ducha, jasnowidzeniem chwili natchnienia. Muzykę lubiła z zapalem – lecz muzykę uczucia, prostą, samorzutną, nieokreśloną teoriami klasycznych kombinacji, których nie pojmowała, bo i nie mogła pojmować. Jej mistrzem było serce, harmonijnie nastrojone, zdolne czuć głęboko, wyrażać tonem swe uczucia i przelewać w inne serca. W każdej niemal z aryj, jakie śpiewała, znalazłbyś wariantę jakąś, własnym jej pomysłem do muzycznego tekstu wprowadzoną, bo tego potrzebowało jej serce i tego wymagało chwilowe natchnienie. Była w niej zatem i twórczość, cecha niezaprzeczonego daru, atrybut wyższej muzycznej natury.

Chociaż Graziella urodziła się w Wenecji i lat siedemnaście w niej przeżyła, znała tylko jej zewnętrzną stronę. O skarbach sztuki i pamiątek dziejowych, jakie wnętrza jej pałaców i świątyń zawierały, pojęcia nawet nie miała. Postanowiliśmy tedy zwiedzić codziennie jakąś część Wenecji w asystencji dostojnej *Signory Ottavii*, której się pomysł ów bardzo podobał.

W tym celu przybyłem nazajutrz do Grazielli przed południem. Fidelio, (gondolier zręczny i wielce do mnie przywiązany, o którym wspomniałem już tobie) uprzedzony przeze mnie zawczasu, przyozdobił *felze* swojej gondoli kwiecistymi festony, oczyścił wnętrze z pyłu i nowe poduszki na ławeczkach położył. Tego mało, ofiarował Grazielli z najhołdowniejszym ukłonem ogromny bukiet (*mazzo di fiori*) oddając siebie i swój statek pod rozkazy pięknej *Signoriny*.

Dzień był prześliczny; byłby nawet za gorący, gdyby nie to, że fale wionęły świeżością i podmuchy zefirów studziły powietrze. Zaczęliśmy wycieczkę naszą od *Piazzetty*. Jest to rzeczywiście punkt miasta, od którego oznajomianie się z Wenecją zaczynać należy. Dwie kolumny, szczątki świątyń Grecji zdobyte przez Wenecjan na Wschodzie, stoją tam jakby na straży obumarłego grodu. Na jednej, lew skrzydlaty św. Marka, na drugiej, posąg św. Teodora. Obie małoznaczące jako dzieło sztuki, lecz jakże wiele w nich dziejowej treści! tradycyjnego znaczenia! Dokoła nich, piętrzą się gmachy wspaniałe, dziwne utwory fantazji geniuszu, przypominające owe eteryczne



budowy Bagdadu, Delhy, Korduby, którymi lada wietrzyk zdaje się kołysać, a jednak wieki przetrwały!

Kędy spojrzysz, rosną i kwitną w najpełniejszym rozwoju form i linii swoich, marmurowe arcydzieła Sansowina i Palladia. Nie szukaj w nich rysów klasycznych; kształtów greckich, romańskich, lub gotyckich, nie szukaj jednolitego stylu ani w ogólnym rysunku, ani w szczegółach. Prokuratorie, biblioteka, pałac Dożów, powstały nie z planu na zimno obmyślanego *secundum artem*, lecz z gorącego wytrysku natchnienia; z kaprysu, że tak powiem, poetycznej wyobraźni, która potrafiła zharmonizować, zespolić z sobą, najsprzeczniesze cechy budownictwa i stworzyć z nich gustowną, pełną gracji i wspaniałości, całość. Znajdziesz tam arkady o łukach sferycznych, portyki i nisze, o łukach ostrych, słupy korynckiego porządku obok ciemnych fibr marmurowych gotyckiej natury, filigranowe galeryjki maurytańskie, rzekłbyś z Alhambry przeniesione. Znajdziesz wszystko, jednym słowem, czego byś znaleźć nie myślał, co nawet być nie powinno, a bez czego nie byłoby jednak tego efektu, jaki cię zdumiewa i zachwyca.

Spojrzałeś wyżej – przed tobą świątynia mauro-bizantyjskiego rysunku, o pięciu kopułach. Na wzniosłym frontonie wietrzą przestrzeń i rwą się do biegu bronzowe konie Koryntu – to kościół św. Marka, najdroższymi łupy zaborczej potęgi Wenecjan, najkosztowniejszymi szczątkami odległej starożytności wewnątrz ozdobiony. Słupy z porfiru i rzeźbione marmury, przywieziono ze Wschodu. Drzwi z brązu i srebra, wzięte z Bizancjum z kościoła św. Zofii. Pomędzy ośmiu kolumnami u głównego wniścia, jedna, według podania, pochodzi ze świątyni Salomona. Przed zdziwionym okiem migają natłokiem skarby sztuki, bogactwa starożytności powodzią wieków oszczędzone, bizantyjskie mozaiki na tle złocistym, drogie relikwiarze kroplistą rosą diamentów osypane, klejnoty wotywnie, posągi z brązu, marmuru, alabastru, a na wielkim ołtarzu bezcenna krypta św. Marka i sławna *Pala d'Oro* blaskiem złota i drogich kamieni opromienione.

Kiedyśmy wstąpili do wnętrza kościoła, uroczyste w nim panowało milczenie, bo oprócz nas, nie było nikogo. Szkarłatnym smugiem wnikwały przez kolorowe szyby ostatnie promienie zachodzącego słońca, ożywiając ciepłymi barwy życia surowe lica posągów i nadające grze drogich kamieni jaskrawe tęczobarwne połyski. Zrazu olśniona, Graziella stanęła bez ruchu i głosu, wpatrując się z ciekawością pełną podziwu w to co ją otaczało, bo nigdy się jej nie zdarzało dotąd oglądać wnętrza świątyni w chwilach wolnych od gwaru i natłoku. Nigdy się jej nie wydała tak piękną i poważną, tak bogatą i uroczystą.

Przejęta wciąż hołdowną, uklękła przed kryptą świętego Marka i kornie skłoniła oblicze. Kiedy powstała, dwie łzy jaśniały w źrenicy. Była to ofiara jej serca złożona Bogu, tkliwa dań najdroższych klejnotów duszy.

Przechodząc koło pałacu Dożów, Graziella ukazała mi ręką na ów Most Westchnień, łączący krytą arkadę, pałac z więzieniem gdzie tyle ofiar pod despotycznym rządem Oligarchów śmierć swoją znalazło.

Na wspaniałych schodach Olbrzymów książęcego dworca, rozrzewniło ją wspomnienie Marina Faliera, którego krew te stopnie zboczyła. Wspomniała także o Foskarym, sędziwym Brutusie Wenecji, który trzykroć być musiał świadkiem, jak synowi jego, oskarżonemu o zdradę kraju, w tym miejscu torturę zadawano.

– *Maladetti!* – zawołała z oburzeniem. – Jakże nie miała upaść potęga Wenecji, kiedy nie była godną błogosławieństwa Boskiego? – *Povera Venezia!*

Ten żal patriotycznej duszy rozwiąło uczucie dumy rodzinnej, kiedyśmy weszli do sali Radnej, gdzie niegdyś ojcowie kraju, poważni *Patres conscripti* Wenecji pod zwierzchnictwem Doży zasiadali. Ściany jej i sufity, pędzlem Tintoreta, Pawła z Werony, Palmy Giovane, oraz innych mistrzów szkoły weneckiej, ozdobione, wyobrażały najświetniejsze dziejowe epoki tej królowej morza, której Graziella córą była. Boje na lądzie i morzu, owacje wodzów, zaślubiny Doży z Adriatykiem, symbol morskiej przewagi Wenecji, roztaczały się przed nami pełne wyrazu, życia i prawdy. Zdawało się, że te zbrojne tłumy walczyć nie przestały, że te okręty i galery, owiane dymem wystrzałów, płyną, nacierają na siebie. Słyszysz okrzyki, hasła, szczęki mieczów i gromy palnej broni. Przeszłość ożyła przed tobą na mistrza skinienie. Geniusz dokonał cudu – wskrzesił co dawno umarło!

Lecz nie jedni my tylko byliśmy widzami tej bohaterskiej epopei dawnego bytu Wenecji. Długi szereg Dożów, zaczawszy od pierwszego z rzędu, Obeteria Antenerea, do ostatniego, Ludwika Maniui, o dziewięć wieków późniejszego, towarzyszył naszemu przeglądowi wielkich epok, wielkich czynów i wielkich ludzi. Jednego tylko Doży niedostawało. Rama na tle czarnym osadzona była pusta, a napis zastępujący miejsce wizerunku świadczył, że tym nieobecnym był Marino Falieri, ścięty za zbrodnię stanu.

(C. d. n.)

---

### **Przypisy:**

(1) Rodzaj budy nad gondolą.



(Ciąg dalszy. – Część dziewiąta)

Żeby się nie rozwlekać zanadto w opowiadaniu, zamilczę o następnych wycieczkach naszych, które się niemal przez cały miesiąc powtarzały. Nie było pałacu, pomnika, kościoła, lub zbioru rzadkości artystycznych, które by uniknęły badania naszego. Co chwila odkrywałem w Grazielli nowe skarby szlachetności, nowe przejawy zdrowego sądu o rzeczach. Trafność poglądu jej, żadną teorią nie kierowana, zdumiewała mię. Poetyczność naiwna i samorzutna, wolna od wszelkiej afektacji i przesady (którymi się nasze światowe damy odznaczają), opromieniała ją ciepłą, żywotną atmosferą, działającą błogo na serce moje, tylu ciosami dotknięte, a więc znękanę i smutną. Wszystko, co mówiła, albo milczeniem wyrażała, było napiętnowane rezygnacją, pobłażaniem, miłością! tchnęło wiarą gorącą w sprawiedliwość wyroków Boskich i kornym poddaniem się onym!

Czułem, że nie jedna miłość tylko, wiązała mię z jej bytem, lecz, rzadsze od miłości, uczucie szacunku i czci nie znającej granic. Czułem, że kochając tę nieziemską istotę i obcując z nią codziennie, pozbywałem się wad wielu i ułomności; stawałem się lepszym; przeradzałem się duchowo w blaskach wyższej moralnej sfery, od tej, w której dotąd istniałem. Usta jej młode, prawie dziecinne, przemawiały do mnie nieraz słowem napomnienia, lub tkliwego wyrzutu; usta jej sączyły mądrość, jakby nektar cudowny, co naturę moją łagodził, oświecał, uzacniał. Było to wróżbą dla mnie szczęśliwą, dowodem jej przychylności i współczucia. Widziała jasno w sercu moim, przeczytała tajemne karty wyznań i pragnień jego – i chciała żeby żadnej na nim plamy nie pozostało, żadnej przywary, mogącej znieważać święte serc przymierze, dozgonną miłość wzajemną.

W obejściu swoim ze mną była swobodną, jak z bratem lub przyjacielem od dzieciństwa. Nieraz bywało, zimne słowo *Signor*, tkliwszym *mio caro* zamieniała. A jednak, nie poważylem się nigdy odpowiedzieć tymże wyrazem, choć żywo pragnąłem, bo mię do tego porywy serca nagliły. Nie uchodziło to jej baczenia. Widziała walkę miłości mojej ze czcią, jaką czułem dla niej. Widziała, że się powściągać muszę, karcić samego siebie i do wytrwania w roli przyjętej

zniewalać. To postępowanie moje, nie zostawało bez uznania i wynagrodzenia. Codziennie rosła w niej wiara we mnie – wiara w rzetelność i w wysoką godność miłości mojej. Co chwila otwierało się szerzej łono jej przede mną, odkrywając tajemne prawdy wrażeń swoich – kosztowne klejnoty niewinności i cnoty.

Byłem tedy szczęśliwy, jak mało kto nim był kiedy! – Byłem szczęśliwy, bo chociaż edeńskim słowem *kocham*, nie zabrzmiały jeszcze jej usta, wszystko w niej mówiło, że byłem kochany – wszystko mówiło, że będę nim do grobu!

Podczas jednej z wycieczek naszych, bez zamierzonego celu, opowiedziałem Grazielli na jej żądania bolesne dzieje przeszłości mojej. O zemście tylko zaprzysiężonej i pojedynku z baronem Arnoldem, zamilczałem, z obawy, żeby nie odstręczyć jej serca od siebie. Śmierć matki mojej poruszyła ją do łez. Skończyłem już narrację moją, a ona zostawała jeszcze niemą, pod wpływem wrażeń doznanych. Westchnąwszy potem, wzięła rękę moją, ścisnęła ze współczuciem i rzekła:

– *Mio caro!* – Stało się, co się stać miało. Bóg zesłał na ciebie cierpienie i tyś Jemu za to błogosławić powinien. On wie, co czyni. Jeżeli dotyka człowieka, to nie bez przyczyny i nie bez miłosiernego celu. Zesłał śmierć na matkę twoją, bo chciał położyć kres jej mękom doczesnym i wieczną błogością cnotę jej wynagrodzić. Zesłał na ciebie sieroctwo, żebyś lepiej pamiętał o przedwiecznym Ojcu niebieskim i usiłował zostać godnym wszechmocnej opieki Jego. – Młoda jestem i nieuczona, to prawda – ale nie ja przemawiam do ciebie w tej chwili; nie ja, *mio caro!* lecz dusza moja, dusza oświecona wewnętrznym objawieniem prawdy niezaprzeczonej, którą dlatego wyznaję, której dlatego hołduję, że ją nie rozumem, lecz uczuciem pojmuję, nie myślą osądzam, ale sercem kocham! Wszak i mnie dotknęło nieszczęście – wiesz o tym. Cios był gwałtowny i nagły. Zdrowie nie wytrzymało, i uległo. Stan więc, w jakim widziałeś mię, nie pochodził z braku wiary w sprawiedliwość Boską, lecz z braku sił ciała. Nie rozpacz trawiła mię, ale gorączka. Nie byłam grzeszną przeciw niebu, lecz byłam chora, bardzo chora! Nieprawdaż? – Z powrotem zdrowia i dusza odzyskała swą siłę, i umysł dawną odzyskał pokorę. Nie jestem ja wesołą, ale spokojną przynajmniej i gotową przyjąć kornie cios każdy, jakim by się podobało Bogu dotknąć mię jeszcze.

– O! bądź dobrej myśli! – zawołałem z wzruszeniem. – Żadnego tobie ciosu przyszłość nie gotuje!

– *Chi lo sa?* – odpowiedziała smutnie. – Za nic ręczyć nie można, bo któż swych losów prorokiem? Nie chcę taić przed tobą (bom kłamać nie zdolna), że znam uczucie twoje dla mnie – oceniam je i powinna bym, zdaje się, witać sercem wesołym, co za szczęście być kochaną rzetelnie – być kochaną na zawsze. A przecież..... miłość twoja tak droga dla mnie..... Widzisz, żem szczerą? – Miłość, którą dzielam – straszy mię i smutku duszy nie rozprasza!....

– *O! cara mia!* – zawołałem, cisnąc jej ręce do ust moich. – Cóżby to znaczyć miało? Wyznaj otwarcie! wypowiedz! wypłacz wreszcie tęsknotę twoją, żeby jej nic a nic w sercu nie pozostało! bo na cóż ma stawać chmurą pomiędzy mną i tobą? na co ma krępować swobodę uśmiechu twego? i drzeniem obawy łono twe poruszać?.....

– Cóż powiem tobie? – przemówiła po chwili Graziella. – Sama nie wiem skąd pochodzi to, czego doznaję. Czy to błąd, przeczucie? czyli prawda jasnowidzenia? Może jedno i drugie? a może nic z tego, tylko cień dawnego wrażenia, co mię o chorobę przyprawiło, i jeszcze się z duszy nie ulotniło zupełnie? Może wreszcie..... lecz nim się wytłumaczę, zapytam: Czy wierzysz ty w tajemne działanie sił niezmysłowych natury na byt człowieka? Czy wierzysz w stosunek planet z naszym doczesnym przeznaczeniem? – Mów! (1)

– Nie mam zwyczaju – odpowiedziałem – przeczyć temu, czego nie rozumiem. Dopuszczam, że mogą istnieć takie kombinacje sił natury i takie sojusze świata widzialnego z niewidzialnym, o jakich się nawet ludziom i nie przyśniło. Dopuszczenie to, nie jest jeszcze wiarą, ale nie jest także i przeczuciem. Żeby w co uwierzyć, lub czemu przeczyć, trzeba mieć przekonanie, że tak jest lub inaczej – a ja go nie mam dotąd.

– Słusznie, *mio caro!* – rzekła Graziella. – Musiałeś jednak czytać lub słyszeć o ludziach, co się odgadywaniem przyszłości wyłącznie trudnili; co sobie na tym polu obszerną wziętość zjednali. Ta wziętość ich czyliż nie jest dowodem trafności wróżby, a tym samym i wierności środków?

– Być może! – odpowiedziałem. – Wiem, że od najdawniejszych czasów ludzie usiłowali zawsze rozszerzyć ciasny zakres władzy swojej i ziemskiego szczęścia, za pomocą przymierza z wyższymi potęgami natury, ba nawet z światami duchów. Jedni szukali w tyglach i retortach kamienia wszechwiedzy; kombinowali zagadkowe pierwiastki eliksiru wiecznej młodości; dochodzili znaków kabalistycznych, wyrzeczeń magicznych, do zaklinalnia, wywoływania i ujarzmienia sobie usługujących geniuszów i demonów. Drudzy udawali się do

mistycznych talizmanów i amuletów, którym tajemną przypisywali władzę. Rzym i Grecja, używały mnogich formuł wieszczenia. Lot ptaków, wnętrzości zwierząt ofiarnych, najprostsze nawet zjawiska fizycznej natury były dla nich wskazówkami złej lub dobrej przyszłości. Wieszczenie przez sól (2), koguta (3) i mąkę (4), były także we zwyczaju. Do dziś dnia wróżki i wróżbici czytają w kawie, kartach, liniach dłoni. Co do tak nazwanych astrologów, dla których firmament miał być sybillińską księgą przeznaczeń, wiecznie otwartą i niemylną, wiele o nich czytałem, wiele rozmyślałem, a chociaż nie nabyłem dotąd przekonania o racjonalności zasad astrologii, wyznaję, że wysoka jest poetyczność w tej nauce.

– I mnie także – przerwała Graziella – choć mój pobożny spowiednik, Fra Bartolomeo nazywa grzechem każde pokuszenie się człowieka odgadnąć swoją przyszłość. On mówi, że skoro się Bogu podobało zakryć przyszłość przed okiem ludzkim, nie godzi się dążyć do jej odkrycia, jakby na przekór Bogu.

– Fra Bartolomeo ma słuszość – odpowiedziałem – tym bardziej, że w tej niewiadomości tego co nas tu czeka, spoczywa największy dowód miłosierdzia Boskiego. Klęska niespodziewana, raz tylko dotyka; nie dręczy przedwczesną boleścią oczekiwania. Wolę zatem nie badać przyszłości. – Niech będzie co ma być!

– Może to rozsądniej, *mio caro* – rzekła Graziella. – Ale każdy ma swoją odrębną naturę. Tyś rozważniejszy ode mnie i cierpliwszy, bo chłodniejszy – zwyczajnie jako syn śnieżystej północy. Jam niecierpliwa i mniej rozważna, więcej od ciebie drażliwa i ciekawa, bom kobieta przecie, a do tego Wenecjanka. – Cóż dziwnego, że myślę inaczej, i wolę wiedzieć zawczasu dobre lub złe, jakie mi przyszłość gotuje? Zdaje mi się nawet, że wiem tę tajemnicę – że posiadam klucz zagadki – że widzę jasno w przeznaczeniu moim!

– Któż wtajemniczył cię w tę wiedzę proroczą? Skąd pewność, że objawienia tej wiedzy nie są błędne? – pytałem Graziellę z niespokojnością, bo się mi zdawało, że pogoda jej czoła nagle się zaćmiła.

– Nie szydź tylko ze mnie – przemówiła po chwili. – Opowiem ci jak było, i co było. Rok temu już będzie, ukazał się w Wenecji cudzoziemiec jakiś, który zwrócił na siebie powszechną uwagę. Jedni nazywali go doktorem i cuda o biegłości jego w sztuce lekarskiej opowiadali. Drudzy mieli go za wielkiego filozofa (pamiętam słowo, choć znaczenia jego nie rozumiem), unosili się nad jego przemądrością i twierdzili, że nie było takiej gałęzi nauk, w jakiej by nie celował. Byli nawet tacy, którzy przypisywali jemu posiadanie czarnoksiężkich

tajemnic, groźnych temu, co by nienawiść jego wywołał. Podobne wieści, obiegając wszystkie klasy mieszkańców Wenecji, rosły coraz więcej, barwiły się coraz jaskrawszymi kolorami wymysłu, nadając zagadkowemu cudzoziemcowi jakiś fantastyczny, prawie nadnaturalny charakter. Nazwisko jego było Tadmoro. Przyjaciółka moja od dzieciństwa, Antonia Salviatti, odwiedziła nas dnia jednego z różnymi wiadomościami o nim. "Czy wiesz Graziello – mówiła – jakie się u nas dzieją cuda? Mamy w Wenecji proroka, co czyta w przyszłości jak w otwartej księdze. On przepowiada, wróży, zgaduje minione koleje ludzi zupełnie jemu nieznanym, których nigdy nie widział – słowem, zadziwia, a nawet przeraża. Całe miasto o niczym więcej nie mówi".

Te słowa Antonii obudziły we mnie żywą chęć sprawdzenia proroczego daru Tadmora. Chciałam się przekonać, czyli przepowiednia jego okaże się zgodną z tym, co się od dzieciństwa prawie w moim sercu odzywa, wróżąc cierpienie i śmierć przedwczesną. Postanowiłam tedy być u niego.

Wysoko jeszcze stało słońce, kiedyśmy, okrywszy twarze maskami, udały się z Antonią do jego mieszkania. Murzyn straszliwy siedział u wchodu, bogato, po wschodniemu ubrany. Spod pąsowego zawoju świeciła para złośliwych oczu; a przez sardoniczny uśmiech, którym obwisłe wargi wykrzywił, łyskały dwa rzędy drapieźnych zębów, białych jakby z kości słoniowej.

Na pytanie nasze, czyli pan jego był w domu? nic nie odpowiedział, tylko ręką na drzwi wskazał, dając do zrozumienia, że wejść możemy. Weszłyśmy tedy. – W obszernej sieni leżał na łańcuchu ogromny brytan, z którym igrał poufale obrzydliwy karzeł, podwójnym garbem obciążony, z demonicznym wyrazem na czarnej jakby heban twarzy. Skoro nas spostrzegł, brytan zawarczał gniewnie, lecz karzeł poskromił go głosem, i dał nieme hasło ręką, żebyśmy szły dalej.

W pierwszym pokoju, obszernym i sklepionym wysoko, w ostre łuki, jak w kościołach niektórych, stały ciasno szafy mahoniowe, do muru przyparte. Co w nich było? nie wiem. Na nich umieszczono marmurowe popiersia jakichś starców brodatych, snadź mędrców starożytnego świata. W każdym kącie dźwigał słup porfirowy starożytną amforę lub urnę. Środek pokoju zajmował stół owalny, o blacie alabastrowym, na którym leżały bezładnie księgi wielkiego formatu, w staroświeckich pergaminowych oprawach z miedzianymi klamrami do zamykania. Jedna z nich była otwarta. – Karty jej zapisane były dziwaczными literami, jakich nie zdarzyło mi się widzieć. Znaki jakieś tajemnicze, trójkąty, koła, gwiazdy, krzyżujące się linie, rzekłbyś kabalistyczne godła, czarnoksiężskie

hasła, pomieszczone były pomiędzy wierszami tego niepojętego tekstu. Wyznaję, że pewny rodzaj niespokojności przebiegł po mnie wobec tych cyrografów magicznych, których moc (jeżeli istniała w istocie) pochodziła prawdopodobnie z nieczystych źródeł, przez Kościół potępionych, przez Boga wyklętych. Na tę myśl, uczułam bojaźń i przerażenie. Przypomniałam sobie demoniczne oblicze negra co siedział u wchodu, strasznego karła co igrał z brytanem. Czy nie były to duchy zakłęte? – pomyślałam – za pośrednictwem których Tadmoro widział głąb czasów i zdarzeń? Strącona z równowagi wyobraźnia moja, w coraz większy przychodziła zamęt, coraz straszliwsze wywoływała potwory i widma. Stan Antonii nie był innym. Pomyślałyśmy tedy obie o jak najspieszniejszym odwołaniu z tych złowrogich murów na jasne i czyste przestworze. Miałyśmy już nawet myśl naszą skutecznie, gdy się nagle podwoje rozwarły, i Tadmoro stanął przed nami.

Zdawałoby się, że pojawienie się jego, w chwili trwożnego usposobienia naszego, powinno było powiększyć jeszcze obawę i pomieszanie, które nas do ucieczki nagliły. Stało się jednak inaczej. Słodycz oblicza Tadmora i godność sędziwa jego postawy, miały w sobie coś do tyła uspokajającego i budzącego zaufanie, że, jakby na skinienie czarnoksiężskiej laski, wnet się poczułam śmielszą i spokojną. Był to starzec poważny i majestatycznego wzrostu. Turban z białego kaszmiru obwijał skroń jego wyniosłą. Długa broda biała, opadająca na piersi, żywo odbijała na tle jego czarnej długiej, fałdzistej odzieży, spiętej w stanie, rzemiennym glansownym pasem, w którym świeciły srebrne znaki, podobne do tych co w owej tajemniczej księdze widziałam. Łagodny uśmiech owiewał usta jego, jakby zachęcając do ufności. Oczy także wyrażały uprzejmość i dobroć, ale razem i rozum głęboki i przenikliwość pewną siebie.

– Chcecie, żebym wam wróżył? – rzekł do nas łamanym weneckim narzeczem, z gardłową intonacją, właściwą wszystkim urodzonym na wschodzie, jakich mi się słyszeć zdarzało.

– Tak, *Signor* Tadmoro – odpowiedziałyśmy.

Oczy wróżbity uderzyły w tej chwili z takim naciskiem, że od magnetycznej siły onych aż z miejsca strąconą byłam.

– Nie bój się! – przemówił Tadmoro – zrzuć maskę i chodź ze mną. Dwom osobom wróżyć nie mogę jednocześnie. Twoja towarzyszka niech tu zaczeka.

Widząc wahanie się moje, dodał z uśmiechem:



– Boisz się? – Bądź spokojną! Nie mam złych zamiarów.

Ośmielona tymi słowy, a więcej jeszcze tonem jakim były wymówione, zrzuciłam maskę i udałam się za nim.

Pokój do którego mię wprowadził, miał charakter zupełnie różny od poprzedzających. Nie było w nim bocznych okien. Sferycznym otworem różnobarwnie zaszklonym, wpadało dzienne światło z góry, tworząc na białych ścianach komnaty smugi promienne i tęcze. Stosy rękopisów, oraz ksiąg, podobnych zewnętrznie do tych, jakie w pierwszym pokoju widziałam, leżały na długich półkach szczelnie do muru przytkniętych. Kilka stołów niejednostajnej wielkości, tu i ówdzie bez symetrii ustawionych, dźwigało mnóstwo przedmiotów, o których znaczeniu żadnego pojęcia nie miałam. Obok sfery niebieskiej, wielkiego rozmiaru, z wyobrażeniem gwiazd i planet, złotem nabijanych, stały na trójnogach mosiężnych jakieś szkła w ramach, jakieś ogromne rury metaliczne na nóżkach, z obu stron zaszklone, to znowu klepsydry, zegary różnych gatunków; słoje wielkie i małe, jedne przezrocze jak łąza, drugie płynem kolorowym napelnione. Na ścianie przeciwległej wejściu, malarz jakiś wyobraził przestrzeń bez granic. W środku zawiesił kulę ziemską – a nad nią napisał płomienistymi głoskami: *Ananke*. Wyraz ten został po dziś dzień dla mnie zagadką. Czy nie mógłbyś mi go objaśnić?

– *Ananke* ma w greckim języku to samo znaczenie co rzymskie *Fatum*. Wyraża przeznaczenie niczym nie dające się odmienić ani odwrócić.

– Pojmuję teraz znaczenie owego malowidła na ścianie – przerwała Graziella. – W nim zawarł artysta osnowną zasadę astrologii. Było to coś na kształt szyldu tłumaczącego znaczenie miejsca, oraz powołanie jego właściciela. Ale wracam do mego opowiadania. – Tadmoro usiadł przy jednym ze stołów; rozłożył wielki arkusz papieru i nakreślił kontur nieba, który podzielił na dwanaście równych części. Potem zapytał mię o rok, miesiąc, dzień i godzinę mego urodzenia; zanotował moją odpowiedź i zagłębił się w jakieś mozolne kombinacje, które wyrażał na tablicy niezrozumiałymi znakami i cyframi, zaglądając kiedy niekiedy, jakby dla sprawdzenia wniosku, do jakiejś księgi, na której napisane było z wierzchu *Efemerydy*. Z niespokojną ciekawością wpatrywałam się w to jego zajęcie, oczekując niecierpliwie, aż mi swój wyrok proroczy ogłosi. Lecz on trwał ciągle w milczeniu; coraz się głębiej pograżał w dumie, zaciekał w badaniu; sprawdzał, porównywał, odmieniał, to nakreślił, to wymazywał całe szeregi znaków, by je nowymi zastąpić, z których także okazywał się niezadowolonym. Twarz jego, spokojna przedtem i uprzejma,

coraz się stawała surowszą i smutniejszą. Pewny rodzaj nawet boleści i przerażenia odbijał się na niej, jakby wobec widzenia jakiegoś, co pogodę ducha mąciło, sercem dotkliwie wstrząsało. Widoczną w nim była walka i pasowanie się. Zdawało mi się, że chciał przemówić, ale się wahał. Czy to było kuglarstwem tylko, dla wzbudzenia silniejszego wrażenia? czy rzeczywistą wiarą w nieomylną naukę, która mu coś niedobrego, coś groźnego dla mnie objawiła? Kiedym tą myślą była zajęta, Tadmoro rzucił pióro z niechęcią; odtrzącił kartę z moim horoskopem, spojrzał na mnie ze współczuciem i rzekł:

– Nauka, której jestem tłumaczem, głosi, że losowi każdego człowieka przewodniczy planeta (5), pod którą się urodził, to jest, że nic mistyczna łączy byt jego doczesny z bytem ciał niebieskich pod warunkami wzajemnego ich na siebie działania. Zgodnie z tym, coś powiedziała o swoim przyjściu na świat, ułożyłem stan nieba ówczesny, i przyszłość twoją wyczytałem. Chcesz-li żebym ci ją powiedział?

– Łatwo odgadniesz *mio caro* – ciągnęła dalej Graziella – że nie miałam racji być ciekawą przeszłości mojej, albowiem doświadczyłam jej sama; ale chciałam poddać próbie rzetelność Tadmora i trafność jego nauki; chciałam usłyszeć o tym co było, żeby się przekonać, jakiej wiary mogło zasługiwać proroctwo jego o tym co będzie. Prosiłam więc Tadmora, żeby przeszłość moją opowiedział.

– Dobrze – wyrzekł astrolog – ale słuchaj bacznie każdego słowa mojego, bo raz wymówione, nie powraca. Wenus panowała na niebie w chwili urodzenia twojego. Jej wpływ na twoje życie byłby zbawienny, gdyby nie szkodliwa przewaga Marsa, wróżącego zawsze jakiś niepomyślny obrót okoliczności. Jakby usprawiedliwiając starożytne podania o bogini miłości, planeta Wenus dała ci powab zewnętrzny, poetyczność ducha i serce zdolne szlachetnie uderzać; słowem, dała ci wszystko to, co ubarwia doczesność i jej cenę podnosi. A przecież.... dnie twoje ubiegłe, nie były bez cieni..... Nie będąc jeszcze sierotą, byłaś już nią niestety. Miałaś ojca, lecz nie znałaś go; nie wiedziałaś, czy żyje? i gdzie żyje? Młodość podniecała umysł twój do mar i nadziei uroczych; budziła twe łono do pieśni; twe ciało do żywych i eterycznych ruchów wesołego tańca. Zdarzało ci się jednak, i to często, uczuć gorycz wewnętrzną, doświadczyć bolesnego ukąszenia gadziny tęsknoty. Błądły wtedy i wiodły róże twego pokoju – mrok opadał na czyste blaski twego wesela – i byłaś smutną – cierpiącą – nieszczęśliwą! Wyznaj – czy zgadłem?

– Zgadłeś! zgadłeś! – rzekłam pełna podziwu i przerażenia. – Ojciec mój.....

– Objawił się tobie niespodzianie – przerwał skwapliwie Tadmoro. – On wracał z dalekich krajów, gdzie długie przepędził lata, tęskniąc za tobą, bolejąc nad twoim sieroctwem. Przybycie jego było najświetniejszym periodem gwiazdy twoich przeznaczeń. Opiekuńcza miłość ojca wionęła radością na życie twoje. Swobodniej usta pieśnią zabrzmiały. Polotniej rzeźwił się twój stan wesela i zachwytu. Byłaś pełną wiary w nadzieję doczesności – pełną pokoju i szczęścia. – Wyznaj, czy zgadłem?

– Zgadłeś mistrzu! zawołałam.

– Lecz Mars – ciągnął dalej Tadmoro – zamącił wpływ zbawienny twej planety. Poruszył toń spokojną dni twoich. Jakieś niebezpieczeństwo zagroziło ojcu twojemu – jakiś cios zawisł nad nim. Tyś cierpiała srodze. – Ciężką obawą napełniło się łono. Wenus przemogła w końcu. Złe minęło. Cicho i jasno zrobiło się w twym sercu. Znowu byłaś szczęśliwą. – Wyznaj, czy zgadłem?

– Dość już słyszałam – mówiła dalej Graziella – żeby uwierzyć w naukę Tadmora. W kilku słowach skreślił on całą przeszłość moją. Nie pojmowałam jak tego dokazał, ale zaprzeczyć nie mogłam, że dokazał, i byłam przerażoną tym co się stało.

Tadmoro milczał. Oczy miał spuszczone i smutne oblicze. Dzień skłaniał się już ku wieczorowi. Perłowe półmroki pływały w komnacie, jakby tęskne i uroczyste dumy, pełne poetycznej tajemniczości i tło myśli moich nie było jasne. Ten człowiek niepojęty, poruszył wszystkie struny mojej przeszłości – i długo brzmiały one we mnie ponurym rozstrojem, zamętu i wrzawy. – W uczuciach, jakich doznawałam w tej chwili, trwoga jednoczyła się z wyrzutem sumienia. Przypomniałam sobie słowa dostojnego spowiednika mego Fra Bartolomea, i cierpiałam, że wbrew im postąpiłam. Czułam, że byłam w stanie grzechu, że ciężko przewiniłam – a jednak... nie mogłam poskromić w sobie żądzę poznać przyszłość moją – usłyszeć wyrok przeznaczenia z ust wieszczych astrologa.

Jakby czytając w duszy mojej, Tadmoro przemówił z niezwykłym wzruszeniem:

– Pragniesz objawienia przyszłości? Chcesz, żebym ci ostatnie słowo twego horoskopu powiedział? Dziecko! – igrasz z żądzą niebezpieczną! Pieścisz straszliwą gadzinę, nieświadoma jej żądła i jadu! Stąpasz niebacznie ku

przepaści, zakrytej zielonością i kwieciami; nie wiesz jeszcze, że przyszłość nie zawsze edenem, nie zawsze błogością i życiem – ale najczęściej piekłem rozpacz, grobowcem najdroższych nadziei serca! Z jej głębi wioną jęki i łkania! Śmiech szydery harpii rozczarowania rozlega się przeraźliwym echem w jej ciemnych i bezdennych pieczarach! Dajmy pokój przyszłości, dziecko moje! Są tacy, przed którymi nie waham się podnieść tajemniczą zasłonę, żeby ich ostrzec, przerazić i do poprawy pobudzić. Lecz tyś czysta, niewinna, przed Bogiem i ludźmi bez skazy. Nie badaj przyszłości i nie wymagaj żebym ci ją ukazał. – Mnie żal ciebie!

– Mistrzu! – rzekłam do głębi wzruszona. – Więc los mój nie będzie szczęśliwy?

– Gdzież tu jest szczęście na ziemi? – odpowiedział boleśnie Tadmoro. – Czy jest taki, co by podczas swej doczesnej żeglugi nie doznał burzy lub rozbicia i bez szwanku do portu dopłynął? Jednych ogołociły nawałnice z klejnotów złudzeń i wesela. Inni wiarę w siebie samych i w bliźnich postradali. – Najszczęśliwsi ci, których sumienie, ów nieoceniony ładunek życia, pośród wzburzonych odmętów nie zatoneło. Nie ma więc trwałego szczęścia na ziemi! Są jasne chwilki – błyski znikome – nic więcej! Tak chciał Bóg, którego mądrość prowadzi człowieczeństwo ku celom Jemu jednemu wiadomym, lecz niezaprzeczenie opiekuńczym i miłosiernym. I twoja przyszłość w Jego rękę. Nie szukaj zatem objawień tej głębokiej tajemnicy gdzie indziej, tylko w Bogu! Ufaj Jemu, korz się przed Nim – błagaj Go, a mroki losów twych uleczą – piorun grożący im zagasnie, i doznasz takiej miary pomyślności, jaka tu na ziemi jest możebną!

Po tych słowach, wyrzeczonych z tkliwym współczuciem, Tadmoro poszarpał kartę mego horoskopu i cząstki onej z niechęcią porozrzucił. Oblicze jego przybrało wyraz rzewnej dobroci, gdy mię odchodzącą do drzwi odprowadzał, i ujawszy dłoń moją, mówił:

– Dla ciebie, dziecko moje, drzwi domu tego zawsze będą otwarte. Odwiedzaj mię, nie jako astrologa, lecz jako rzetelnego przyjaciela, który będzie rad pocieszyć ciebie i dopomóc tobie w każdej potrzebie. – Pamiętaj o tym!

– Sprawdziło się tedy co serce przeczuwało! – rzekła do mnie po chwili Graziella. – Jasne były słowa Tadmora. Cierpienie leży na dnie mojej przyszłości. Prędko gwiazdę moją pochłoną tumany i mroki. Ledwie błysnęłam – zagasnę!

Kiedy tak mówiła, wiatr gwałtowny od kanału *Orfano* naleciał na gondolę naszą w chwili jej krętego powrotu do kanału *della Giudecca*, i ledwie jej nie wyrzucił. Zręczności i sile Fidelia obowiązani byliśmy, żeśmy uniknęli niebezpieczeństwa.

Już dobrze ciemnieć poczynało. Niebo wróżyło noc burzliwą. Chmury płynęły czarną powodzią. Wody kanałów szumiały i Adriatyk odzywał się groźnie z daleka.

Fidelio silnie napierał na wiosło – pospiesznie wiosłem wywijał. Mimo oporu fali i nacisku boku wiatru, bystro przybliżaliśmy się do brzegu. – Wkrótce wylądowaliśmy szczęśliwie.

*Signora Ottavia* była niezdrową kiedy wprowadziłem Graziellę do jej mieszkania. Niespokojność o nas, przyczyniła się niemało do jej cierpienia. W istocie, godzina była już spóźniona – burza coraz się gwałtowniej wzmagala – dla trwoźnych wrażeń kochającego serca dość było, zdaje się, powodów. Jakoż powitała nas okrzykiem radości. Graziellę pochwyciła w swoje objęcia i najtkliwszą okryła pieśczęcią. Mnie pogroziła palcem, trochę połajała z uśmiechem, w końcu przebaczyła.

Miałem już odejść, bo czułem się nieco znużonym; sama delikatność wreszcie wymagała tego ode mnie. Lecz kiedym składał życzenia dobrej nocy, Graziella powołała mnie do swego pokoju, mając, jak się wyraziła, coś ważnego do powiedzenia.

(C. d. n.)

---

### **Przypisy:**

(1) Wiadomo, że we Włoszech wiara w tego rodzaju zabobony do dziś dnia jeszcze się utrzymuje.

(2) *Alomanteja*.

(3) *Alektromanteja*.

(4) *Aleuromanteja*.

(5) Puryści raczą mi przebaczyć, że odmówiłem *planecie* męskiego rodzaju. Według mnie *ten planeta, ten kometa*, to coś takiego nieharmonijnego, że wolę narazić się regule, niż drażnić słuch polskiego czytelnika taką kakofonią.



(Ciąg dalszy. – Część dziesiąta)

Pokoik Grazielli, ciche ustronie dziewicze, wychodził, jak o tym już powiedziałem, dwoma oknami na kanał *della Giudecca*. – Nie było w nim zbytowego komfortu, nie było nawet pretensji do elegancji. Przeciwnie, główną cechą jego stanowiła prostota i szczerłość (jeżeli się tak wyrazić mogę), naiwna, odpowiednia czystej i nieobłudnej naturze tej, co w nim zamieszkała. Na ścianach śnieżnej białości, kilka sztychów i akwareli historycznej treści. Na etażerze z palmowego drzewa, kilka książek w skromnej oprawie: *Tasso*, *Ariosto*, *Alfieri*. Na stoliczku, nieodstępnym towarzyszu czyściutkiej sofki, album Wenecji, przybór do pisania i bukiet świeżego kwiecica. Na oknach wazony róż, hortensji i fuksji. – W kątku na gwoździu gitara. Dalej, ładny parawanik z marszczonej jedwabnej tkani błękitnego koloru. Za nim łóżeczko Grazielli, istne posłanie Gracji albo Peri, białe, świeże i powiewną gazą osłonięte. W głowach, na murze, olejna Madonna z Boskim dziecięciem i krucyfiks z perłowej macicy ze srebrnym wizerunkiem Zbawiciela. Między oknami wisiał pod czarną krepą portret ojca Grazielli. Nigdy go nie odkrywała; rysy więc jego nie były mi znane.

Graziella usiadła na sofce i wezwała, bym się przy niej usadowił. Pojąłem z jej oblicza i głosu, że była wzruszoną i że to, co miała powiedzieć, tyczyło się najważniejszego interesu jej życia. Nie wiem skąd pochodziło, że tą razą dusza moja nie była usposobioną do gotującej się rozmowy i niechętnie przystępowała do niej, jakby przewidując nieprzyjemność jakąś, albo za ciężkie brzemię bolesnych wrażeń dla jej sił obecnych.

Graziella była także smutną i zamyśloną. Rzewna jakaś uroczystość malowała się na jej twarzy, której bladość tłumaczyła jasno zamęt wewnętrzny.

– Chciałam pomówić z tobą, *mio caro!* – rzekła po długim wahaniu się, jakby przewyciężając siebie – pomówić otwarcie, poufnie o rzeczy dla nas obojga najważniejszej – o losie naszym!

– Ty kochasz mię – wiem o tym – nie wątpię że kochasz uczciwie i szczerze. Ja także uległam pociągowi wzajemnego uczucia – ja także Kocham ciebie. A jednak, miłość nasza nierozsądna – tego mało – szkodliwa, tak mnie jak i tobie!

– Nie przerywaj mi, *mio caro*. Niech wypowiem co mam na sercu.

– Tyś baron, syn możnego rodu, właściciel wielkiego majątku – a ja biedna i rodem nie sięgam wysoko.

– Ciebie otoczą krewni, przyjaciele, panowie mnogich włości, dumni z herbu i bogactwa – ja pozostanę na stronie, nieprzyjęta, nieuznana, odtrącona, więc boleśnie dotknięta w mej godności – czego byś sądził nie chciał?

– Nikt się nie ośmieli – zawołałem – uchybić mojej żonie!

– Nikt też jej nie uchybi otwarcie – ciągnęła dalej Graziella – nie dopuszcza bowiem grubego nieokrzesania w ludziach twojej sfery. Ale sama nawet grzeszność, może być dotkliwą i ubliżającą. Jedno słowo, jedno spojrzenie, jedno nic, bywa częstokroć obelgą. Ciebie także spotkają szyderstwa, wymówki, za winę niestosownego związku. Ty cierpisz, ja cierpię, oboje nie będziemy szczęśliwi! Powiedz sam, czy nie mam racji? To co mówię, sprzeciwia się najdroższemu interesowi serca mego. To co mówię, zadaje cios śmiertelny najdroższym moim nadziejom. A jednak gotowa jestem powtórzyć, com powiedziała, bo takie moje przekonanie, bo sumienność i rozsądek tego wymagają po mnie Tak, *mio caro!* rozłączyć się nam trzeba koniecznie! I to lepiej dziś, niż jutro. Dziś cierpię tylko, jutro nie przeżyłabym tego może!

– Ani dziś, ani jutro! – zawołałem, do głębi wzruszony – kto tu śmie mówić o rozstaniu, wbrew woli naszego serca. Wszak to moralne morderstwo! Są uczucia, co się nie dają ocyrklować rozsądkiem, których nie można poddać chłodnej regule przeczności i rozważni. Takim właśnie uczuciem miłość! Gdzie jest władza, co by jej sprostać mogła? której by wyrok był dla miłości normą i prawem! Stłumić ten ogień, wstrzymać bieg tego prądu, nie w mocy człowieka. Kto się na to pokusi, życiem przypłaci! – Na cóż mamy popełniać samobójstwo, wywołując śmierć przedwczesną? O! *cara!* nie pochodnię pogrzebu, lecz lampę hymenu nam zapalić należy! – Precz! z kirem żałoby! Usypmy raczej kwieciami gościniec żywota! oświećmy go radością ducha, pokojem serca! nadzieją w Boga! i dłoń w dłoń, oko w oko stąpajmy pospołu w przyszłość daleką, błogosławiąc ludziom, ziemi, niebu, i wzajem błogosławieni! – O! ty nie wiesz

czym jesteś! Nie znasz sama potęgi uroku twego! Nie obelga dotknie cię, ale cześć hołdowna otoczy. Nie wyrzucać mi będą, ale zazdrościć. Każdy przyzna, że nie jam podniósł cię do siebie, lecz żeś ty zstąpiła do mnie, bo cóż znaczą pergaminy rodowe, wobec znakomitości wdzięków, umysłu i serca? – Błogi duch także matki mojej opromieni się radością, gdy przestąpisz progi zamku przodków moich, gdy na jej samotnym grobie złożysz dań kosztowną uczucia, dań świętej modlitwy! Ty ożywisz wszystko, co martwe! oświecisz co ciemne! rozweselisz co smutne! – Nieme wizerunki praocjów moich, przemówią i uprzejmą powitają cię żrenicą! Skrzepłe ściany gmachu zapłoną ciepłem i życiem! a serce moje brzmieć wiecznie będzie dla ciebie hymnem wdzięczności i uwielbienia!...

– Ach! *caro mio!* – przerwała boleśnie Graziella. – Na co mi wydzierasz ostatnie siły moje! na co strącasz nielitościwie z toru, jaki mi sumienie obrać kazało! Czy zapomniałeś, żeś skazana na nieszczęście! że od najmłodszych lat noszę ten wyrok straszliwy w moim przecuciu! że na koniec sam Tadmoro, kiedy mój horoskop ułożył, zbladł z przerażenia, wobec przyszłości mojej, którą mu gwiazdy odkryły!... Nie żałuję ja, żeś cię pokochała, ale wyrzucam sobie surowo, żeś ci nierozważnie miłość swoją odkryła! Obowiązkiem moim było skryć tajemnicę głęboko, i ciebie odtrącić; samej cierpieć, byle ciebie oszczędzić! samej umrzeć, byleś ty żył spokojnie, i stosowniejszym wyborem pomyślność swoją zabezpieczył! Nie przeszkadzaj mi więc dopełnić tego obowiązku! Nie przeszkadzaj, błagam! postąpić godziwie i szlachetnie, nie przyjmując ofiary twojej, nie dopuszczając ciebie do spółnictwa nieszczęścia, na jakie jestem skazana, jakie przeczuwam i widzę przed sobą, niedaleko, oczyma duszy mojej!...

Kiedy tych słów domawiała, głos jej drżał jak struna burzą trącona, a w tym głosie rzewna boleść, i błagania dzwoniły na przemian.

Kiedym spojrzał na nią, twarz miała bladą, i dwie łzy kropliste po niej spływały. Kiedym do niej przemówił słowem nadziei w Boga i miłości, nic nie odpowiedziała, bo zbyt wrażeń przepelniona pierś jej odmówiła brzmienia, a ciałem nerwowe drganie potrzęsało. Straszno mi się zrobiło. – Graziello! Graziello! – wołałem cisnąc jej rękę na ustach. – Nie wierz przecuciom! nie wierz przepowiedniom! ale wierz miłosierdziu nieba i poleć jemu przyszłość swoją! – Jeżelibyś nawet miała być nieszczęśliwą, to komuż, jak nie mnie podzielać nieszczęście twoje i osładzać? – Komuż, jak nie mnie, stanąć przy tobie w chwili cierpienia, i jeżeli taka wola Boga, umrzeć z tobą pospołu?... O!



nie odmawiaj mi tego – zaklinam! nie odtrącaj! Ja nie mogę opuścić ciebie! nie mogę! – Węzeł, co nas zjednoczył, silny nie jedną miłością tylko! Przyjaźń, wiara, spólczenie spotęgowały moc jego, i zrobiły wiecznym, uroczystym, świętym! Targnąć się nań byłoby świętokradztwem! zbrodnią przeciw naturze i Bogu! Jam twój *o! cara mia!* całym jestestwem moim! twój do zgonu, i po zgonie!

Konwulsyjne łkanie rozdarło w tej chwili pierś Grazielli. Drżąca i blada, powstała ruchem nerwowym z sofki, i rzekła gorączkowo, jakby przewyciężając siebie:

– Niech się więc spełni przeznaczenie moje! – Jam twoja na wieki!

Olśniewającym błyskiem pioruna zapłonęło w tej chwili ciemne przestworze nocy. Straszliwy łoskot rozległ się w powietrzu; i toń kanału *della Giudecca* uderzyła gwałtownie o brzegi.

– To burza przyszłości mojej! Przestroga rozgniewanego losu! – rzekła Graziella, cisnąc dłoń swoją w swojej dłoni.

– Miłość, męstwo i wiara, przemogą tę burzę! podolają nieprzychylności losu! – zawołałem – śmiało więc Graziello moja! śmiało!

– Śmiało? mówisz – przerwała z gorzkim uśmiechem – śmiało? O! jam śmiała *mio caro!* Jeżeli truchleję, to o ciebie. Czy słyszysz, jak sama natura obawę moją potwierdza? Jak wichrem, gromem i rykiem odmętów morza, przestrozę swoją wypowiada? Burza potrząsa naturą, przecucie potrząsa duszą. O! jak straszny taki zamęt żywiołów, i ten zamęt serca! Łódź nasza nie wytrzyma ciosów takich! Otchłań pochwyci ją i rozkruszy! Pozwól, o! pozwól, niech odpłyne sama! Ty pozostań na brzegu!

– Za późno Graziello! za późno! – rzekłem rozrzewniony tym jej szlachetnym oporem. – Mimo burze i gromy, jam twój do grobu! i tyś moja! I niech ten co był ojcem twoim i opiekunem, któregoś stratę gorzko opłakała, i o mało życiem nie przypłaciła, którego duch tu obecny, widzi głąb serc naszych, i słyszy wzajemną przysięgę miłości naszej i wiary, niech ten pobłogosławi nam w tej uroczystej chwili wiecznego przymierza na życie i na śmierć!

To rzekłszy, zbliżyłem się do portretu ojca Grazielli, zerwałem żalobną zasłonę, co go osłaniała i nagle, krzykiem bolesnym rozdarły się piersi moje, bo w tym wizerunku poznałem barona Arnolda!

Jakby gromem rażony stałem bez mowy i ruchu, stałem jak zbrodniarz przed swoim sędzią, jak grzesznik przed swoim sumieniem, stałem pełny wyrzutu, podziwu i przerażenia! A postać barona występowała z ram swoich. Rosła, krzepła, olbrzymiała przede mną. Oczy jego gorzały złowrogo, wbijały się we mnie jak dwa rozpalone groty. Usta tryskały jadem nienawiści, śmiechem szyderstwa, słowem przekleństwa! On groził, urągał się, znieważał mnie wzgardliwie. Wyzywał do odpowiedzialności za śmierć swoją, a jam truchłał wobec tego straszliwego widzenia, drżał jak listek od tchnienia huraganu, jak ofiara pod siekierą kata! Jam truchłał i czułem w sobie jakby ukąszenie tysiąca gadzin, szarpanie tysiąca szponów drapieżnych, ból tysiąca strzał co mnie na wylot przeszywały! Serce ledwie nie rozsadziło piersi, umysł mrokiem obłąkania zapłynął. – Przebacź! przebacź! – wołałem. – Jam twój zabójca, aleś miał moje życie w twym ręku! Jam twój zabójca, lecz srogo śmierć twoją odpokutowałem! Jam twój zabójca!...

Krzyk straszliwy, bolesny Grazielli, krzyk rozpacz, zgrozy, i obłąkania rozległ się koło mnie, wołając: *Maledetto! maledetto!* Wybiegłem na ulicę ścigany tym wołaniem przekleństwa. I zdawało mi się, że ktoś goni za mną z groźbą i szyderstwem, że jakieś olbrzymie skrzydła łopocą nade mną, żeby pochwycić i unieść w obszary, że się ziemia trzęsie i rozpada pod moimi stopy, żeby mnie pochłonąć! A ja biegłem, biegłem bez myśli, celu, pojęcia! biegłem, bo mnie rozpacz niosła, obłąkanie parło, wichur pchał gwałtownie, powtarzając na różne łady i tony: *Maledetto! maledetto!* Ciemno było, czarno, okropnie dokoła! Ciemno było, czarno, okropnie w mej duszy! Wzywałem błyskawicy, żeby mnie przetrawiła, wzywałem pioruna, żeby mnie skruszył i zgniótł na atomy, wzywałem topieli szalonej, żeby mnie porwała i pogrążyła w przepaściach. – Biły gromy ale nie we mnie! Topiel ryczała, miotając się w pienistym łożysku, ale mnie oszczędzała. Śmierć nie chciała mnie, choć życie odpychało! Ale wulkan rozpacz grzmiał coraz silniej w łonie, palił coraz dotkliwiej, rozlewał się we mnie wrzącą lawą, kipiał ognistymi prądy. Dłużej wytrzymać mocy nie stało! – Bądź zdrowa Graziello! – zawołałem i rzuciłem się w ciemną otchłań kanału, i wir wzburzonej toni uniósł mnie od brzegu.

Poczułem zrazu chłód, świeżość, ulgę. Wał za wałem tłoczył się i pienił – wał za wałem kołował i szumiał. A jam płynął z nimi bez myśli, woli, kierunku, jak odłam skruszonego masztu, jak alg bezwładny, lekka zdobycz fali. Jam płynął nie dbając dokąd mnie topiel unosi, bom czekał śmierci, pragnął śmierci, i wzywał jej całą mocą duszy rozpaczającej i znękanej!

Wkrótce zmysły tępieć zaczęły, siły opadły w omdleniu, i straciłem uczucie bytu.

Tu się zatrzymał baron Emanuel, i zatonął w milczeniu. Każdy rys twarzy jego drgał bolesną katuszą. Pamiątki wywołane opowiadaniem przesuwały się jakby czarne chmury po jego czole. Smutnej, nieszczęsnej przeszłości odkrył on przygody przede mną. Głębokie blizny serca odsłonił. Żał mi go było serdecznie, bo któż doznał tyle jak on? i tyle utracił? Kogo boleśniej zawiodły nadzieje, i los ukarał surowiej? Kiedy się ocknął z zadumania, i spojrzał na mnie, twarz moja musiała wyrażać rzetelne spólcucie, bo ujął dłoń moją, ścisnął mocno, i na swym sercu położył. Poczym rzekł:

– Dość będzie na dzisiaj! Później dokończę moje opowiadanie. Potrzeba udzielić spoczynku dla duszy. Wspomnienia dzisiejsze nadto ją dotknęły.

Dzień skłaniał się już ku wieczorowi. Szczyt Kazbeka płonął pryzmatycznymi ogniami zachodzącego słońca, a wzdłuż parowów przemykały perłowe cienie. I cicho było dokoła! tak cicho, że słuch łowił każdy szelest gadziny w zaroślach, każdy ruch skorpiona na suchych mchach kamieni, każdy szmer powiewu co liście drzew i krzewów poruszał. Były to chwile pełne uroczystego czaru, kiedyśmy wybiegli na gościniec, polotnym pędem naszych koni, zagwarzyły dalekie echa jaskiń i ciężkie szумы górnych lasów powitały nas z wysoka. Orzeł kołował w błękitach. Obłok, pielgrzym przestrzeni, spieszył usnąć w śnieżnym łożu Kazbeka. W basztykach mroku, drzemały już po obu stronach gościńca, surowe postacie skał. Kur pieniał się i miotał. Ruina Mschety wzdychała, a tętent naszego cwałowania witał ją i żegnał przelotnie.

W Tyflisie rozłączyliśmy się z baronem. On pojechał do siebie na Awlaban, a ja pospieszyłem na plac Erywański, gdzie było moje mieszkanie.

Ledwie zeskoczył z konia i pałasz odpaśał, nadbiegli koledzy i posypały się pytania: dokąd jeździłem z Aleksiejewem i po co? Skąd moja z nim znajomość i jak dawna?

– To dziwak! – mówili jedni.

– Odludek! mizantrop! – mówili drudzy.

– Zły kolega! – mówił stary szalawiła Gabriel Arsenjew (1) – nie grywa w karty i nie pije!

– Nikt go nigdy nie widzi, i nie słyszy – dodał żartobliwie Michał Glebow  
(2) – czy nie upiór czasem albo wampir?

– Nie! – zawołał porucznik Brimmer – żaden upiór ani wampir nie potrafiłby tak rąbać dzielnie, jak on. Wolno wam panowie wymyślać na niego, co się wam podoba. Co do mnie, utrzymuję stanowczo, że mało pomiędzy nami takich żołnierzy, jak on, i takich kolegów.

– Prosimy o dowody! – zawołano.

– Nic łatwiejszego! – ciągnął dalej Brimmer. – On mi wyratował życie.

– Gdzie? kiedy i jakim sposobem?

– Pod Achulgo, panowie! Czterech miuridów obskoczyło mnie w chwili, kiedyśmy szturmowali ostatni wał aułu. Kindżały i pałasze groziły mi zewsząd. Osłabiony krwi wpływem, bo już byłem rannym, padłbym niechybnie ofiarą nierównego boju, gdyby nie męzny Aleksiejew, który napał miuridów znienacka, dwóch zrąbał, trzeciego zastrzelił a czwartego strącił pięścią ze skały. Zgodzicie się panowie, że to był czyn dzielnego żołnierza i szlachetnego kolegi. Wszak prawda?

– I ja mam także coś o nim powiedzieć – rzekł książę Włodzimierz Kozłowski. – Podczas oblężenia Temir-Chan-Szury, kiedy nas Szamil tak ciasno opasał, że dla uniknięcia głodowej śmierci pozjadaliśmy wszystkie nasze konie, a na desert psy, koty i szczury, generał Klukke von Klugenau zwołał radę wojenną, na którą sztabs- i ober-oficerów (3) garnizonu zaprosił. Głównym pytaniem było:

– Jak należało postąpić? – Czy oczekiwać odsieczy? – Czy poddać się?

W pierwszym razie głód doprowadziłby garnizon do buntu. W drugim hańba spadłaby na wojsko.

Żeby lepiej ocenić ważność kwestii, wiedzieć potrzeba, że Szamil obsadził wszystkie punkta panujące nad twierdzą swoją artylerią, która strzelała do nas jak do kaczek, skorośmy się na placu lub na wałach pokazali. Okoliczność ta, oraz ciasna blokada, były powodem że nie mogliśmy przesłać żadnej wieści o sobie generałom dowodzącym wojskami, żeby z odsieczą pospieszyli. Kilku śmielszych gońców zginęło. Kilku zręczniejszych powróciło nie spełniwszy polecenia. Słowem, tak było źle, że gorzej być nie mogło.

Kiedy generał Klukke zagaił radę wojenną, długo trwała dyskusja, lecz niczym się stanowczym nie zakończyła. Każdy perorował, dowodził, a sensu w tym było niewiele. Zniecierpliwiony tym brakiem racjonalności i moralnego hartu, Aleksiejew powstał z miejsca i zawołał:

– Wiele słów, a mało rzeczy! Tu trzeba jędrnego zdania, mężnej determinacji, a nie pustej gawędy. Ratunek życia kilkuset ludzi nie jest głównym zadaniem naszym. Niech giną, byle honor pułku nie poniósł hańby! Czy tak panie jenerale?

– Nie inaczej! – przemówił generał.

– Otóż proponuję – ciągnął dalej Aleksiejew – dwa środki niezawodne ocalenia honoru naszego. Pierwszy: Zrobić ogólną wycieczkę, przebić się, lub zginąć. Drugi: wysadzić prochem fortecę i zagrzebać się pod jej gruzami.

Całe *plenum* rady, wspólnie z prezesem swoim oparło się energicznie temu heroicznemu środkowi wyjścia z trudnej pozycji i ocalenia honoru chorągwi. Wprowadzono filantropię na scenę; nazwano poryw rycerski Aleksiejewa awanturniczością i donkichotyzmem – płodem umysłowego zamętu i maligny.

– Tchórze! – zawołał mężny Aleksiejew z pogardą i oburzeniem. – Baby! – i wyszedł z izby posiedzenia.

Lepiej się stało zapewne, że nie postąpiono wedle zdania jego, bo nazajutrz rano generał Hurko wpadł na Szamila, zmusił go zdjąć pośpiesznie blokadę, i nas oswobodził. Ale poznaliście teraz co to za człowiek ten Aleksiejew i jaki z niego żołnierz.

W tej chwili nadszedł mój gość codzienny, pułkownik Bürno, człek bywały, wytrawny, wielu rzeczy świadomy, sławny inżynier, doskonały rysownik i karykaturzysta; a przy tym narrator pełny gustu i dowcipu. O co byś nie spytał? wiedział. Jakie byś nie nazwał miejsce? był tam. Jaką byś nie zagaił kwestię? rozwiązał. – Słowem, była to osobistość wielkiej znakomitości w sensie artystycznym, naukowym, militarnym i społecznym a nawet i moralnym, bo miał serce, czego nierzadkie dawał dowody.

Bürno pochodził z Sabaudii. Znał doskonale włoski język, w równym stopniu francuski, nieco słabiej niemiecki, a najslabiej rosyjski, którego nie lubił i tylko w razach koniecznych używał. Wielki książe Michał, brat cesarza

Mikołaja, amator, jak wiadomo, ludzi dowcipnych i zdolnych, wyrobił dlań posadę głównego naczelnika inżynierów na Kaukazie, gdzie od lat kilku zostawał.

– O czym to rozprawialiście, *mes amis*? – zapytał, sadowiąc się na tureckiej otomanie, przed którą wedle normy kaukaskiej, stały na stoliczkach kasztany w koszach i flasze kachetyńskiego wina. – Obiło mi się o uszy nazwisko pułkownika Aleksiejewa. O nim więc była mowa?

– O nim, rzeczywiście. – *Vous le connaissez*? – zapytał dobry mój przyjaciel, Monnot Arbiller, konsul francuski.

– *Oui, je le connais*. – odpowiedział Bürnö, zapalając fajeczkę, z którą się nigdy nie rozłączał. – Znam całą przeszłość jego, pełną straszliwych przygód i ciosów bolesnych; a znam ją z pewnego źródła, bo z ust najwierniejszego jego przyjaciela, poczciwego Gaskończyka, niejakiego Figeac'a, którego żona – *une vieille Megère s'il en fut* – była moją krewną. Traf zrządził, że będąc w Wenecji, stanąłem w tym samym domu, gdzie Figeac mieszkał z... Aleksiejewem. Byłem więc, mogę powiedzieć, świadkiem, a w części nawet uczestnikiem strasznego wypadku, co skruszył serce biednego Aleksiejewa i całą jego doczesność zawichrzył. Nigdy on mię nie widział, chociaż niejedną godzinę przy łożu jego codziennie przepędzałem, zastępując Figeac'a, wycieńczonego trudem, niespokojnością i czuwaniem. Chory zostawał przez kilka tygodni pomiędzy życiem i śmiercią, w stanie zupełnej nieprzytomności. Rzucił się konwulsyjnie, miotał; rozdzierającym jękiem bóleści i rozpaczy przerażał nas i rozrzewniał. Szukał narzędzi śmierci, z myślą samobójczą, a nie znalazłszy, wrywał się z rąk naszych, by głowę o ścianę roztrzaskać! Pozostałbym dłużej przy nim, gdyby nie konieczność powrotu do Rosji, skąd na dwa miesiące tylko, dla rodzinnego interesu wyjechałem. Odtąd straciłem Aleksiejewa z oczu. Żadna wieść nawet o nim do mnie nie dochodziła. Sądziłem że umarł.

Ćwierć wieku ubiegło. Z porucznika inżynierów, zostałem pułkownikiem; z młodego franta starym gadułą, który zapewne nieraz już wam dokuczył.

– *Fi donc, cher Colonel!* – zaprotestowano jednogłośnie. – A toż się godzi tak nas brać na fundusz? – *Pour qui donc nous prenez-vous?*...

– *Pour tout ce qu'il y a de meilleur et de plus aimable au monde!* – rzekł, uśmiechając się uprzejmie Bürnö – i to com powiedział, nie ubliża bynajmniej

tym przymiotom, jakie wam na mocy rzetelnego przekonania przypisałem. Ale to nie przeszkadza, żeby stary nie był czasami nudnym, nieznośnym nawet intruzem w gronie ludzi młodych, nieznoszących zwykle rozwlekłej i bezbarwnej narracji, która się, być może, już i wam nieraz przez uszy przelała.

– *Corbleu!... Vous êtes incorrigible!* – zawołali, Monnot, Glebow, księżę Dawid Czawczawadze, a za nimi i inni. – Dość już tych preludów! – Do rzeczy! do rzeczy!

– Ponieważ takie wasze zdanie, opowiem historię tego biednego Aleksiejewa, trzymając się wiernie narracji Figeac'a, którego nazwisko już wam wspomniałem.

– Prosimy! prosimy! – zawołano; i głębokim milczeniem objawiła się bacność ogólna. Postać Aleksiejewa poczęła nabierać coraz większego znaczenia w opinii; rosła, poważniała i olbrzymiała, im się więcej z tajemniczości swojej obnażała. Przestano już nazywać go szyderczo, dziwakiem, mizantropem, odludkiem; lekceważyć jego smutek i surową oziębłość w stosunkach. On był mężny, szlachetny – ale przy tym nieszczęśliwy! – Czegóż potrzeba było więcej, żeby sobie zjednać szacunek i spólcucie? Jakoż bacność słuchaczy rosła w miarę tego, jak się pułkownik Bürno w swojej narracji zagłębiał. Śmierć tragiczna matki Aleksiejewa, jego żal, przerażenie, rozpacz, w końcu solenne przysięgi zemsty, znalazły rzewny odgłos w sercach słuchaczy. Pod takim to hasłem wstąpił on na arenę świata! Cóż dziwnego, że się sny jego miłosne i nadzieje szczęścia huraganem rozpaczyny zakończyły? – Rzewnie i malowniczo oddał pułkownik Bürno tę scenę bolesną, kiedy poznawszy w portrecie ojca Grazielli, rysy barona Arnolda (4), wpada w szal przerażenia, w zamęt straszliwej męki duchowej i ucieka z domu swej narzeczonej, żeby w toniach rozhukanego morza doczesność swoją pogрузić.

– Późno już było – ciągnął dalej pułkownik Bürno – kanały i laguny szumiały pod naciskiem burzy. Pioruny były bez przerwy. – Aleksiejew nie powracał!

Figeac był niespokojny. Chodził chyżymi krokami dokoła komnaty. Smalił zawzięcie swoją nosohrejkę i językowi milczeć pozwalał.

Nagle wbiegł Fidelio, gondolier Aleksiejewa, blady, drżący, wzruszony. Z długich włosów toczył się źródł wody. Odzież miał mokrą, zmiętą i jakby poszarpaną.

– Prędeż! prędeż! – wołał głosem ochrypłym – na miłość Boga prędeż!

– Co się stało? – krzyknęliśmy, biegnąc ku niemu.

– *Il Signor* leży w mojej gondoli. Wyciągnąłem go z morza i przywiozłem.

Pospieszyliśmy za nim.

Aleksiejew był rzeczywiście bez ruchu i prawie bez życia. – Włosy miał przesiąknięte wodą, splugawione mułem i rozczochrane. Twarz była blada, sina, wyrazem przerażenia i rozpaczony napiętnowana. Pięści miał ściśnięte. Odzież potarganą i mokrą.

Wnieśliśmy go.

Fidelio skoczył po lekarza. My tymczasem rozebraliśmy zemdłego i położyliśmy do pościeli.

Pocziwy Figeac oniemiał z niespokojności i żalu. Krzątał się i biegał. Rozpalił ogień na kominku. Grzał serwety i ręczniki, którymi okładał chorego, żeby krwi cyrkulację obudzić, życie w bezwładnym ciele rozniecić.

I jam dopomagał jemu gorliwie. Milczeliśmy obydwaj. Nieszczęśliwe to zdarzenie przedstawiało się nam, nie jako dzieło ślepego trafu, lecz jako czyn umyślny, straszliwą jakąś boleścią spowodowany; czyn rozpaczony, podniesionej do stopnia obłąkania i szaleństwa.

Wkrótce powrócił Fidelio i wprowadził lekarza.

Był to człowiek lat średnich, surowego wyrazu i postawy. Myśl głęboka usiadła mu na czole, gdy opatrzywszy chorego, do badania rysów przystąpił.

– Ten człowiek chciał umrzeć! – przemówił po chwili, jakby sam do siebie.

Domysły nasze znalazły żywe echo w tych słowach lekarza.



Środki zaradcze, czynnie i umiejętnie zastosowane, przerwały wprawdzie atonię fizyczną chorego, ale stan jego umysłu wielką w nas rodził obawę. W gorączkowym obłędzie władz moralnych Aleksiejewa, widzieliśmy nie jedną tylko cerebralną kongestię, ale rozstrój zupełny harmonii fibr mózgowych, gwałtownym ciosem duchowym spowodowany i wiodący do zupełnego pomieszania zmysłów. Takim było przynajmniej zdanie lekarza. Gorliwie i głęboko śledził on stan swego pacjenta; z obecnych symptomów wnioskował o następnych; sięgał przezornym badaniem do samej głębi rezultatów reakcji sił żywotnych przeciw chorobie, środków leczebnych przeciw oporowi niszczących pierwiastków w organizmie. Na chwilę nawet nie przerywał badania, nie odchodził od łoża, snując nie kombinacji według rozumu, serca i objawień sztuki.

(C. d. n.)

---

### **Przypisy:**

- (1) Rodzony siostrzeniec drogiego polskim sercom Bibikowa, wielkorządcy kijowskiego. Miał on żonę, Olgę Isleniew, którą ogołociwszy ze wszystkiego, rzucił po kryjomu i uciekł na Kaukaz. Ona umarła z nędzy w Radziwiłowie – on z pijaństwa w Kargaczu.
- (2) Adiutant naczelnego wodza Neidhardta. Zginął w boju z Czezeńcami.
- (3) W Temir-Chan-Szurze stał pułk Apszeroński piechoty.
- (4) O szczególe tym dowiedział się pułkownik Bürno później z ust Figeac'a, kiedy przybył do Rosji z baronem Emanuelem.



(Ciąg dalszy. – Część jedenasta)

Całą noc trwała gorączka. Chory miotał się i jęczał. Z ust spalonych biegły urwane wołania, ciężkie westchnienia, bolesne i błagalne słowa. Imiona Grazielli i barona Arnolda, często powtarzane, jednoczyły się z sobą dziwnie, wśród chaotycznego natłoku sylab, wyrazów, periodów, brzmiających bez stosunku i znaczenia w ochrypłym głosie chorego.

On wzywał kogoś, błagał, zaklinał – zdawał się pociągać ku sobie, lub odtrącać z przerażeniem. Serce jego truchlało wobec groźnego jakiegoś widzenia, jakiejś mary chciwej i nieubłaganej, przed którą cała potęga męstwa jego i woli padała w niemocy.

Nade dniem zwolniała nieco maligna. Ucichły miotania i jęki. Lekarz posłał po nowe leki i rzekł do nas:

– Pokonałem ciało, lecz nie wiem, czy mi się uda poskromić ducha! Okropne jakieś zdarzenie potrząsało nim gwałtownie. Czy nie domyślacie się, co by to być mogło?

Ani Figeac, ani ja, nie mogliśmy zadosyć uczynić jego pytaniu, bośmy o przyczynie katastrofy nic jeszcze nie wiedzieli. Tyle tylko dowiedział się lekarz od Figeac'a, że Aleksiejew kochał młodą i piękną dziewczynę; że ją kochał serdecznie, uczciwie i miał ją pojąć za żonę.

– A ta dziewczyna – zapytał lekarz – czy godna takiej miłości?

– O! to miłe, zacne i nieporównane stworzenie! – rzekł Figeac z rozrzewnieniem. – Znam jej serce i śmiało mogę zaręczyć, że skoro tylko wyrzekła słowo *kocham!* nie skłamała. Nie ona więc przyczyną tego co się stało. A jednak... pojąć nie mogę... bo on był u niej do późna, jak mi powiedział Fidelio. – Nigdzie więcej nie był. *Je ne sais vraiment que penser.*

– Czy nie miał czasem rywala? – zapytałem Figeac'a. – Wenecja jak i Korsyka, ma swoje *vendetty*. Zazdrość bywa nierzadko podniętą zbrodni. Wzgardzonemu współzawodnikowi mogło przyjść do głowy wyrzucić zemstę nad szczęśliwym kochankiem. Wszak nie ma nic niepodobnego, że czatował nań i wtrącił zdradziecko do morza?

– *Tiens – c'est une idée cela!* – zawołał Figeac, uderzając się ręką po czole – podzielam myśl twoją.

– A ja nie! – przerwał lekarz. – Rysy twarzy wyrażały długą walkę wewnętrzną, boleść niezmierną i rozpacz. Słowa dopełniały znaczenie twarzy. – Nie! on nie był strącony do morza – sam się rzucił, bo szukał śmierci. Rzecz niezawodna!

Podczas tego dialogu, chory zdawał się uspakajać stopniowo pod wpływem narkotycznego kordiału cośmy go wypić zmusili. Słońce stało już wysoko. Po nocnej burzy dzień przecudny nastąpił. Poczciwy Fidelio spał u nóg chorego, na podłodze. Ja drzemałem w staroświeckim, arcywygodnym fotelu. Lekarz ciągnął dalej swoje obserwacje, wpatrując się w oblicze uspiętego pacjenta. Figeac'a nie było w pokoju.

Nie wiem, ile chwil ubiegło, gdy się nagle drzwi rozwarły i Figeac stanął przede mną blady, pomieszany, drżący.

Na zapytanie moje, gdzie był? i co znaczyło wzruszenie jego? nic nie odpowiedział, choć widno było, że chciał przemówić. Coś mu pierś ścisnęło i mowę zaparło.

– *Pauvre enfant!* – wymówił w końcu, jakby przewyciężając siebie – i łzy mu z oczu trysnęły.

– Co z tobą? Co się stało? – zapytałem pełen trwożnego podziwu, albowiem pojąłem, że zdarzenie co taką naturę do łez pobudziło, musiało być rzewnym i bolesnym.

– *Pauvre enfant!* – powtórzył Figeac z wzrastającym wzruszeniem. Gdybym dożył lat matuzalowych, niezapomniałbym konając, tego com widział. – O biedna! biedna Graziella!

– Graziella? – rzekłem, przypomniawszy sobie, że takie było imię narzeczonej Aleksiejewa. – Cóż się z nią stało? Mów!

– Co się stało? – Głos jej dźwięczny już umilkł na wieki! Szkarłaty jej lica pobladły! Promienna źrenica zamierzchła! i serce zakrzepło! *Pauvre enfant!* – Z tylu wdzięków, przymiotów, uczuć i nadziei, cóż zostało? – Trup niemy i chłodny! – Umarła!

Aleksiejew nie słyszał tych słów Figeac'a, bo nie mógł słyszeć. On spał snem sztucznym, snem głębokim, do śmierci podobnym. Lekarz nie przestawał wpatrywać się w jego oblicze. Lecz słowo "umarła", którym Figeac swoje

smutne sprawozdanie zakończył, wzbudziło do tyła ciekawość jego, że powstał spiesznie i zbliżył się do nas.

Mimo pozornej obojętności swojej, był on, jakby na przekór egoistycznej natury wyznawców Eskulapa, człowiekiem sercowym i tkliwym. Przyjął wiadomość o śmierci Grazielli z bolesnym przerażeniem, które się cieniem żałobnym na twarzy jego odbiło. Nie znał jej, lecz wiedział czym była i jaką była; wiedział przy tym że jej życie zaledwie z pączka wiosennego rozkwitłe, miało prawo poić się długo jeszcze balsamem nadziei, istnieć w jasnych promieniach miłości, rozwijać światu swe różane barwy i kształty ponętne. Wiedział na koniec, że niedawno, prawie przed chwilą, życie to pałało całą pełnią wrażeń i błogości – było uroczą rzeczywistością, prawdą, pełną pociągu i czaru. – Czemuż tak nagle zagasło? Skąd wypadł ten grot co je rozkruszył? Dlaczego wypadł?...

Takie były pytania zacnego lekarza, gdy nieco ze wzruszenia swego ochłonął. Odpowiedź Figeac'a była następująca:

– Ponieważ wiedziałem – mówił on – że mój biedny przyjaciel bawił do późna w domku swej narzeczonej, pobiegłem tam, w nadziei, że znajdę rozwiązanie tajemnicy, której nie umieliśmy wytłumaczyć sobie. Nie było żadnej gondoli u brzegu, bo wiatr dął mocno i poruszał wodę kanałów. Musiałem robić krąg daleki, przez uliczki i przesmyki, pełne jam i wertepów, pośród których sam diabeł skręciłby szyję, albo zbłądził. Nie wiem prawdziwie, jakim cudem uniknąłem tych dwóch nieprzyjemności. *C'est le secret du destin.*

Nie jestem ja – ciągnął dalej Figeac – łatwym do przyjęcia trwożliwych wrażeń, bo natura dała mi duszę mężną i nerwy ze stali. Przecież w miarę tego jakem się zbliżał do mety, czułem w sobie wzmagającą się niespokojność i obawę. Nie domysł dręczył mię, lecz pewność trapiła. Ja, com błędził samotnie w pampach Kordylierów, szydząc z pytonów i jaguarów; com tygrysom i panterom puszczy malabarskich śmiało w oczy zaglądał, drzałem prawie jak dziecko ze strachu i strach ten przenikał mię na wylot. Kiedym stanął wobec domku Grazielli, całej użyć musiałem potęgi woli, żeby się doń przybliżyć i spojrzeć do wnętrza jego przez okienko otworem zostawione.

I cóż ujrzałem, o Boże! – Boleść, nieład, zamieszanie!

*Signora Ottavia* klęczała przed wizerunkiem Madonny, załamując rozpaczliwie dłonie. Franceska, wierna *cameriera* Grazielli, rozlewała się łzami i

jękiem boleści. Dwie jakieś niewiasty, nieznanne mi wcale, lecz widocznie domowe, nie obce, unosząc się głośnym łkaniem, krzątały się gorliwie w celach ratunku koło bezwładnego ciała tej, co tak niedawno jeszcze była krasą Wenecji, światły ideał podwójnego wdzięku, duszy i postaci, sobą urzeczywistniała!

Siła jakaś tajemnicza, nieprzewyciężona, pchnęła mię do wnętrza domku. Wbiegłem – spojrzałem na Graziellę, i poznałem niestety! że czczą była usilność pocziwych niewiast, albowiem nic już nie było w stanie wyrwać ze szponów śmierci jej zdobycz kosztowną; nie było takiego środka na ziemi, co by ją ożywić zdołał! Bo, na tych licach, jakby letargiem pokoju owianych, było coś takiego, czym śmierć tylko oblicze obleka! coś takiego, na co braknie wyrazów, a cośmy piętnem wieczności mianować przywykli, bo jakże nazwać inaczej?...

*Pauvre enfant;* – Leżała na swojej maleńkiej sofce, oparta głową o poduszkę. Wyraz ust był bolesny, i słodki razem. Widno cios, pod którym uległa, był niespodziany, nagły. Poraził ją od razu, nie zamąciwszy uroczej harmonii rysów, przed chwilą jeszcze błogim uczuciem szczęścia i pokoju ożywionych!

Ta sama siła co mię do niej przywiodła, kazała mi uklęknąć przed nią, i westchnąć za jej duszę do Boga. Pacierza nie umiałem żadnego. Modliłem się więc *à ma manière*, podniesieniem uczuć i myśli. – *C'est toujours ainsi que je prie.*

*Signora Ottavia* postrzegła mię, i powstała. Potem zbliżyła się do mnie, i rzekła słowa przerywanymi łkaniem:

– Jużeś raz wyratował życie mojej biednej Grazielli – wyratuj i teraz!

– Nie, nie, odpowiedziałem – bo cóż miałem odpowiedzieć?

– Milczysz? rzekła wtedy – O! czemuż niemym jesteś i obojętnym wobec takiego nieszczęścia! wobec mojej boleści! Patrz! patrz *Signor!* wszak to nie śmierć? nieprawdaż? To omdlenie tylko – to może letarg – chwilowa niemoc po gwałtownym wstrząśnieniu duszy? – Mów *Signor*, że mam rację! że się nie mylę! że ona żyje! żyć będzie! Niedawno jeszcze, brzmiało słowo w jej ustach; promieniła się źrenica, i oddech swobodny jej łono poruszał. Przed godziną, była pociechą starości mojej! chlubą i szczęściem życia! – Przed godziną.... ach! sama nie pojmuję, co się stało? jak? i dlaczego? – *On* był u niej. Słyszałam z mego pokoiku rozmowę ich spokojną i niewinną. Tworzyli sobie plany pożycia

– rozporządzali swoją przyszłością – sprzęgali doczesność na wieki. A jam cieszyła się ich zgodą i błogością sercową. – Oblekałam starość moją w ich sny promienne i nadzieje. Młodniałam w ciepłym tchnieniu czystej ich miłości, świętej przed ludźmi i Bogiem! Późno już było – późno – byłam niezdrowa – położyłam się trochę, i zasnęłam. Ile chwil ubiegło, nie wiem – krzyk nagły Grazielli zbudził mię, i przeraził. Coś ciężkiego upadło na podłogę. Zerwałam się z łóżka, i pobiegłam. Drzwi pokoiku były otwarte. Wiatr szumiał przez otwarte okienko, i noc wkraczała do wnętrza. Graziella leżała na ziemi! leżała z ręką na sercu! leżała bez ruchu i głosu! Co się działo ze mną? pojdziesz! Jakem ją gorliwie trzeźwiła, cuciała, wzywała łzą, jękiem i wołaniem; zrozumiesz! Pojąć nie mogłam tego strasznego zdarzenia. Powodu nieszczęścia dotąd się nie domyślałam. Czemu *On* ją opuścił? Czemu ona krzyknęła? Czemu upadła bez zmysłów... może bez życia!?...

Taką była relacja poczciwego Figeac'a – ciągnął dalej pułkownik Büro – Graziella umarła. Serce pękło, i duch jej przezczysty uleciał w niebiosy!

Figeac uwiózł Aleksiejewa z Wenecji, do rodzinnego zamku jego. Stary Fritz żył jeszcze. Stan Aleksiejewa był nader smutny. On istniał wegetacyjnie, jak drzewo, lub roślina. Duchowego życia w nim nie było. Jadł, kiedy go karmiono; spał, kiedy go położono. Na żadne pytania nie odpowiadał; żadnej swej chęci nie objawiał. Nie wiedział gdzie jest, z kim obcuje, czego chce, lub nie chce. Słowem, bierność martwa dotknęła wszystkie jego władze moralne, a nawet i fizyczne, bo nie zdawał się czuć żadnego bólu, choć ten ból musiał istnieć, i być dotkliwym.

Poczciwy Figeac i Fritz podzielili pomiędzy siebie całą staranność o chorem. Poświęcili się całkiem opiekuńczemu posłannictwu swojemu. Gorliwość ich nie miała granic jak i szlachetność ich serca. Figeac wyrażał najwyższe zalety wiernego przyjaciela – Fritz, wiernego sługi. Obydwa byli narzędziem Boskiego miłosierdzia, albowiem oni to dowiedli, że w rok niespełna od daty wyjazdu z Wenecji, Aleksiejew powrócił do zdrowia, chociaż nigdy już do dawnej umysłowej pogody nie powrócił, nigdy się z kiru sercowego nie otrząsł. Dawną towarzyskość jego zajął humor drażliwy i odludny. Na pierwiastkową jego wiarę w ludzi, osiadła rdza podejrzania i wstrętu. Bywały chwile takie, w których Figeac'a nawet i Fritza widział niechętnie przy sobie. Zwyczajem jego było wtedy, błądzić samotnie po komnatach i galeriach zamku, w ciemnym orszaku dum i pamiątek, co jakby harpie męczeństwa ściagały go natrętnie; albo zstępował do grobu matki, gdzie

na pogrążeniu się w sobie samym i na modlitwie długie trawił godziny. Słyszano nieraz wśród nocy jęk jego przeciągły i słów urwanych brzmienia rozpaczliwe i nieme łkanie wiecznej jego bolesti. Bywały jednak i jaśniejsze chwile. Zdawał się wtedy spokojnym, prawie niepomnym przeszłości. Na czole niósł więcej pogody, na twarzy więcej wyrażał rezygnacji i pojednania z sobą samym – i na świat uprzejmiej spoglądał.

Wiek i znój żywota spadły ciężkim brzemieniem na biednego Fritza. Zachorował obłożnie. Sprowadzeni lekarze nie omieszkali, ma się rozumieć, zagaic uczone *consilium*, z którego na podstawie tejże nauki, rażna sprzeczność zdań i poglądów diagnostycznych wynikała, co i było powodem, że nałykawszy się specyfików niezgodnej natury, a tym samym szkodliwych, pacjent ujrzał się wkrótce bliskim śmierci. Wtedy to przywołał on do siebie Aleksiejewa, i przemówił doń w ten sposób:

– Panie mój! – Przebacz słudze twemu, albowiem ciężko względem ciebie przewinił!

– Wszystko coś ucierpiał w ciągu życia twego – wszystkie ciosy jakich doznałeś, były skutkiem jednej chwili, którą ja nieszczęsny wywołałem! którą dziś, umierając, oplakuję! z której się przed tobą panie i przed Bogiem spowiadam!

– Tak, jam był sprawcą twych przeszłych i obecnych cierpień; bom wymógł na tobie występłą przysięgę zemsty, i to wobec wizerunku Zbawiciela, który nauczał pobłażania i miłości, i swoim nawet mordercom na krzyżu przebaczył.

– Jam więc, nieszczęsny, doprowadził ciebie panie! do grzechu wielkiego! Jam zatrul życie twoje! jam zgubił ciebie!

– Przebacz umierającemu – a Bóg i tobie przebaczy!....

Oddawszy ostatnią posługę wiernemu słudze, Aleksiejew powierzył zarząd swego majątku poczciwemu Figeac'owi, którego serca i zacności doświadczył, a sam znienawidziwszy życie, postanowił szukać kresu onego na polu bitwy. Sławny Jermołow był wtedy wielkorządcą Kaukazu. Aleksiejew stanął pod jego chorągwiami; odznaczył się w kilku wyprawach i szturmach; gdzie mógł, stawiał swe życie na wabank! słowem, był najmężniejszym pośród mężnych, bo też był i najnieszczęśliwszym.

Jermołów lubił go i cenił; dawał mu stopnie i ordery; w końcu za wyłączenie się w boju, przetransferował go, z rangą pełnego rotmistrza, do konnych strzelców cesarskiej gwardii, z którym to pułkiem rozbił turecką kampanię 1828 roku pod dowództwem feldmarszałka Dybicza. Po zawarciu adrianopolskiego pokoju, Aleksiejew, nie mogący obejść się bez wojny, znowu powrócił na Kaukaz, gdzie od tej pory zostaje.

Koniec "KARTY WSPOMNIENIŃ".



Z czasopisma: "Przegląd Lwowski", Rok pierwszy (1871). Tom I. Wydawca i Redaktor X. Edward Podolski. Lwów 1872, po s. 320 Dodatek powieściowy "Przegl. Lw.": ss. 1-8; 378-384; 423-429; 473-480; 537-545; 592-604.

"Przegląd Lwowski", Rok pierwszy (1871). Tom II. Lwów 1872, ss. 22-32; 98-111; 235-246; 304-315; 372-377. (1)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono; ilustracje od red. *Ultra montes*).

### **Przypisy:**

- (1) Por. 1) Berlicz Sas, [\*Dwaj biskupi. Obrazek z przeszłości.\*](#)
- 2) "Przegląd Lwowski", [\*Stanisław Hozjusz.\*](#)
- 3) Abp Ignacy Hołowiński, *Homiletyka*. a) [\*Jędrzej Laskary Gosławicki. Kaznodzieja na soborze w Konstancji.\*](#) b) [\*Prymas Stanisław Karnkowski.\*](#) c) [\*Ks. Piotr Skarga.\*](#)
- 4) Kazimierz Lubecki, [\*Wspomnienie o księciu kardynale Puzynie.\*](#)
- 5) Ks. Piotr Pękalski, [\*Żywoty Świętych Patronów polskich.\*](#)
- 6) O. Franciszek Świątek CSsR, [\*Świętość Kościoła w Polsce w okresie rozbiorowym i porozbiorowym. Życiorysy świątobliwych Polaków i Polek ostatnich wieków.\*](#)
- 7) "Szkoła Chrystusowa", [\*Sława Sarmacji, jasnoświetna Pochodnia Kaznodziejskiego Zakonu. Żywoć Księdza Wawrzyńca Owłoczymskiego \(1724 – 1763\).\*](#)



8) Ks. Franciszek Gabryl, *Polska filozofia religijna w wieku XIX*. a) [Ks. Karol Surowiecki \(1754 - 1824\)](#). b) [Ks. Stanisław Chołoniewski \(1792 - 1846\)](#).

9) Bp Michał Nowodworski, a) [Ksiądz Karol Surowiecki](#). b) [Śp. ksiądz Zygmunt Golian](#).

10) Ks. Władysław Czecz SI, [Pierwsza ofiara Murawiewa. Opowiadanie naocznego świadka](#).

11) Ks. Zygmunt Chelmicki, [Ojców naszych Wiara Święta. Katechizm przystępnie wyłożony i przykładami objaśniony](#).

12) Ks. Michał Ignacy Wichert, [Nauki katechizmowe o Składzie Apostolskim, Przykazaniach Boskich i Kościelnych, o Modlitwie Pańskiej i Sakramentach](#).

13) Ks. Konstanty Gawroński, [Jasny i gruntowny wykład prawd wiary i moralności chrześcijańskiej](#).

(Przyp. red. *Ultra montes*).



( [HTM](#) )

© *Ultra montes* ([www.ultramontes.pl](http://www.ultramontes.pl))

Cracovia MMXXI, Kraków 2021